

SAMOSTANOWIENIE

NR 9 ROK IV KWARTALNIK POLITYCZNY WIOSNA 1989

O Grupie Politycznej „Samostanowienie”	3
Następstwo Prezydenta RP	6
Kto kogo rozbroi ?	13
ZSRR: między obawą a nadzieją	16
Dyplomacja polska na Bliskim Wschodzie	24
Zazdrościć Palestyńczykom ?	28
Ordynacja wyborcza do sejmu	32
Z życia emigracji	

Przestrzegamy

przed złudzeniami

Stanowisko Grupy Politycznej "Samostanowienie" wobec wyników
"okrągłego stołu"

Rozmowy z lutego i marca 1989 r. pozwoliły na poznanie stanowisk stron i postawienie pod dyskusję zagadnień, których nigdy dotąd nie dotykała oficjalna debata polityczna. Jest to ważne, ale nie prowadzi do rozwiązania polskich problemów.

Opozycja w koncesjonowanym Sejmie PRL formowanym pod wpływem partii komunistycznej i związku zawodowego "Solidarność" pełnić będzie najwyżej rolę mentora wobec wiadomej z góry większości rządowej.

PZPR nie ma spójnej wizji wprowadzenia ładu ekonomicznego. Nadal trwa upadek gospodarczy PRL, w tym przyspieszony rozkład rynku, postępujący mimo eksperymentów reformatorskich.

Rysująca się perspektywa trzeciego etapu reformy gospodarczej dokonywanego przy udziale niektórych ekspertów związanych ze związkiem zawodowym "Solidarność" nie rokuje przełomu. Tylko zasadniczy zwrot w dotychczasowej praktyce gospodarczej może zapobiec kompromitacji establishmentu "Solidarności" w oczach społeczeństwa.

Strona społeczna w negocjacjach reprezentuje związek zawodowy i ludzi, którym bliskie są ideały "Solidarności", natomiast nie jest zorganizowana wokół programów politycznych. Tylko debata społeczna nad programami politycznymi, ich konkurencja w wolnych wyborach i przekazanie misji utworzenia rządu tej partii, która przekona społeczeństwo do swej koncepcji, może spowodować postęp w Polsce.

Doprowadzenie do tej sytuacji nie wydaje się nam możliwe bez kolejnej fali wstrząsów i niepokoїв społecznych.

Warszawa, 21 marca 1989 r.

Grupa polityczna "Samostanowienie"

- szkic struktury i celów

Grupa osób, które uzgodniły swoje poglądy na temat legalizmu w połowie roku 1984 zorganizowała się w Zespół Polityczny "Samostanowienie". Zamiarem ich było propagowanie idei nieobecnych wówczas w dyskusjach i świadomości społecznej w Polsce: ciągłości prawnej Państwa Polskiego zachowanej przez strukturę rządu emigracyjnego i możliwości organizowania w oparciu o aparat londyńskiego ośrodka legalistycznego ważącej akcji niepodległościowej. Dla zaakceptowania wówczas legalizmu niezbędne było przyjęcie zasady samostanowienia. Rozumiemy przez nią, że w przyszłości wolne społeczeństwa rozstrzygną, jak chcą być rządzone i w granicach których państw miałyby się znaleźć. Wbrew powszechnemu werbalnemu poparciu tej zasady, opiniotwórcze środowiska opozycyjne były zarazem jednomyślne co do ostatecznego charakteru obecnych granic PRL ze Związkiem Sowieckim /a także Czechosłowacją i NRD/ i szkodliwości odsuwania tego zagadnienia do ustaleń między wolnymi narodami. Stanowisko Rządu RP na Uchodźstwie, aprobowane również przez emigracyjny rząd Ukraińskiej Republiki Ludowej, było przyczyną niepopularności legalizmu w jednych środowiskach /np. Dawid Warszawski w piśmie "KOS" wyrażał obawy, że legalizm blokuje możliwość dialogu z emigracją ukraińską właśnie/, a inne skłaniało wręcz do akceptacji Jałty. Pierwszym nośnikiem "niepopularnych" idei miał być założony wówczas kwartalnik polityczny "Samostanowienie". W lutym 1985 r. zamknięty został pierwszy numer pisma.

Pierwsze oświadczenie programowe w formie listu, a właściwie - jak się dawniej mówiło - "adresu" do urzędującego Prezydenta RP Edwarda Raczyńskiego podpisane zostało przez Zespół "Samostanowienia", a nie redakcję. Zespół - to znaczy nie tylko tych, którzy pismo redagowali, ale i osoby tworzące kształt ideowy "Samostanowienia", a zajmujące się np. kolportażem. Zespół miał charakter zamknięty, wychodzenie z poglądami na zewnątrz odbywało się przede wszystkim przez czasopismo. Ten charakter ośrodka ideowego skupionego wokół czasopisma, postrzeganego zatem jako redakcja, "Samostanowienie" miało przez lata 1985-1986.

Wiosną 1987 r. po próbach z własną poligrafią wyszliśmy na zewnątrz poprzez ulotki w sprawie dwojga polskich katolików z Żytomierza na Ukrainie. Prócz rozrzuconia ich na ulicach Warszawy przedrukowały ją też "Niepodległość" i "KOS". Dwa miesiące później, 3 maja 1987 r. już jako Grupa Polityczna, "Samostanowienie" uczestniczyło w powołaniu Porozumienia Partii i Organizacji Niepodległościowych PPION /wraz z Organizacjami: Liberalnych Demokratów "Niepodległość" i "Wolność-Sprawiedliwość-Niepodległość" oraz Polską Partią Niepodległościową i Ruchem Politycznym Wyzwolenie/. Wskutek wątpliwości co do perspektyw ciała zrzeszającego tak różne ideowo i organizacyjnie podmioty polityczne, do jesie-

ni 1987 r. Grupa uczestniczyła w Porozumieniu w charakterze obserwatora. Obecnie ten sam proces wydaje się przechodzić Unia Demokratów "Baza". Powstanie Grupy Politycznej - ciała o charakterze otwartym - nie oznaczało likwidacji Zespołu, stąd przemienność podpisów Zespołu/Zespołu Politycznej/ i Grupa Polityczna. O relacjach między tymi strukturami piszę w dalszej części artykułu.

Obecnie Grupa Polityczna "Samostanowienie" prowadzi różnorodną działalność polityczną. Należy do niej inicjatywa integracji opozycji niepodległościowej wokół idei powołania krajowego oddziału Rady Narodowej RP - ciała mającego pięćdziesięcioletnią historię a zastępującego parlament Rzeczypospolitej w okresie, kiedy naród nie może swobodnie wybrać swego przedstawicielstwa. W numerze 8 "Sst" przedstawiliśmy projekt statutu KORN, dający zdaniem naszym poważne uprawnienia jego krajowym uczestnikom z jednoczesnymi gwarancjami stabilności instytucji emigracyjnych. Obecnie ten projekt nie wzbudzi zapewne zainteresowania organizacji politycznych, gdyż uwagę skupią dyskutowane właśnie wybory do Sejmu PRL, ale może stać się aktualny już za parę miesięcy.

Drugą inicjatywą integracyjną, która jak meteor zabiłysia 11 października 1988 r. i w której GP "Samostanowienie" aktywnie uczestniczyła, było spotkanie niepodległościowej opozycji politycznej w przededniu rozmów z "Solidarnością". Spotkanie skończyło się wydaniem komunikatu /publikowanym w tym numerze "Sst"/ aprobującym żądanie "Solidarności" jej ponownej legalizacji i przywołującym sprawę wolnych wyborów jako zasadniczy postulat dnia dzisiejszego. Wyłoniono sześciuosobową Komisję Przygotowawczą dla celów integracji ugrupowań niepodległościowych. Mając sprecyzowany pogląd na kwestię integracji uważaliśmy udział w Komisji reprezentanta Grupy za pożądany. Niestety, brak wyrobienia i kultury politycznej niektórych ugrupowań spoza PPION spowodował nieprzewidywany dotąd kryzys tej inicjatywy. Wiąże się on z zarzutami wobec rzecznika Komisji Przygotowawczej - Leszka Moczulskiego, że na spotkaniu 13.X.88 z przedstawicielami KKW NSZZ "Solidarność" reprezentował KPN a nie zgromadzenie, które powierzyło mu funkcję rzecznika. Nic więc dziwnego, że Komisja Przygotowawcza nie zajęła się pracą koncepcyjną. Skutkiem było oświadczenie "Solidarności Walczącej" i LDP "Niepodległość" przypominające Komisji do jakich zadań została powołana i zawierające udział tych organizacji w jej pracach.

Prócz tych inicjatyw integracyjnych Grupa posiada własne kontakty polityczne, także poza układem wewnątrzopozycyjnym, w tym międzynarodowe. O polach zainteresowania może się Czytelnik zorientować po tytułach artykułów w kilku ostatnich numerach "Samostanowienia". Od maja 1988 r. zaczęliśmy być obecni jako Grupa, z transparentami, na rozmaitego rodzaju publicznych zgromadzeniach.

Zarysowane we wstępie dwie zasady: ciągłości prawnej Rzeczypospolitej Polskiej i zasady samostanowienia w stosunkach międzynarodowych i międzyludzkich wytyczają ogólny kierunek działalności. W licznych artykułach programowych lub programowych tezach artykułów raczej informacyjnych lub analitycznych można znaleźć bardziej sprecyzowane poglądy i oceny. Tezy programowe - wzbogacone przez kolejne numery "Samostanowienia" dojrzały by być zebrane razem, z oficjalnym placetem Grupy. Tak się stało, prace

redakcyjne są na ukończeniu i broszura będzie dostępna wkrótce kanałami organizacyjnymi. Ponieważ z natury jesteśmy przeciwni, przynajmniej przedczesnemu, tworzeniu zamkniętych programów usiłujących opisać całość nierozpoznanej polityczności rzeczywistości, dlatego program Grupy Politycznej "Samostanowienie" skonstruować zamierzamy jako pogrupowane tematycznie tezy programowe. Zasadniczo będą to cytaty z numerów 1-8 czasopisma. Taki program mieć będzie charakter otwarty, nie poruszając wielu spraw, którymi się nie zajmowaliśmy, a co do których możemy się też różnić. Mieć będzie charakter zarazem szczegółowy, a więc najczęściej wprost aplikacyjny, do szybkiego zastosowania. Wiąże się z tym konieczność aktualizowania programu, która co jakiś czas będzie przeprowadzana.

Wzrost Grupy, zajmowanie się przez nią coraz to nowymi zagadnieniami, oddziaływanie na inne środowiska, powodują komplikowanie się struktury wewnętrznej i konieczność jej kodyfikacji. Zachowany z poprzedniego etapu Zespół /Zespół Polityczny/ jest kierownictwem Grupy o charakterze funkcjonalnym. W zasadzie każdy z członków Zespołu reprezentuje podległe Zespołowi agendy, takie jak np. redakcja "Samostanowienia", lub sprawuje w nim określone statum funkcje. Statut w pewnym etapie powinien być zatwierdzony demokratycznie przez Zjazd, co w dzisiejszych warunkach byłoby trudne do przeprowadzenia.

Koncepcja ośrodka i agend, jednego budżetu i kierowania się racjami merytorycznymi sprawia, że np. prawa wydawnicze /copyright/ na kwartalnik posiada nie redakcja a, w imieniu Grupy - Zespół Polityczny. Jest to konsekwencja angażowania środków w deficytowe lub na pograniczu deficytu /gdybyśmy nie wypłacali honorariów za teksty, jak było na początku działalności/ czasopismo.

Otwarty charakter programu i struktura Grupy Politycznej /która przy zachowaniu tożsamości przez posiadanie zorganizowanego rdzenia zachowuje otwartość/ zbliża ją do partii politycznej typu amerykańskiego. Grupa Polityczna "Samostanowienie" definiuje się jako partia polityczna bez formalnego członkostwa zamierzająca osiągać swe cele przez mobilizowanie utożsamiających się z nią obywateli do działania na rzecz jej programu politycznego. Może być ewentualnie etapem wstępnym tworzenia klasycznej partii europejskiej.

Kto zatem, skoro nie ma sformalizowanej przynależności, może się uważać za członka, a kto tylko za sympatyka Grupy Politycznej "Samostanowienie"? Od członka Grupy oczekiwać należałoby spełnienia podstawowych kryteriów ideowych, takich jak: zgodność co do stanowiska niepodległościowego /odrzucającego Jałtę i pływające z niej uwarunkowania/, uznanie nadrzędności zasady samostanowienia w regulowaniu przyszłych stosunków w Europie i Polsce [= wolne wybory i gwarancje dla mniejszości/, a także pozostawanie w łączności organizacyjnej z Grupą. Zaostrzone kryteria ideowe spełniać musi natomiast każdy członek kierownictwa Grupy. Są to: całkowita akceptacja tekstów programowych Zespołu i ogólna kierunku programowych tekstów redakcyjnych tworzących otwarty program Grupy, w wyżej wyjaśnionym sensie. Publikacja programu wywoła zapewne wątpliwości co do wielu kwestii, nawet wśród osób identyfikujących się na ogół z naszymi tezami. Prosimy zatem o listy - będziemy odpowiadali: przez zacytowanie wcześniejszych artykułów, czy przez wyjaśnienie powtarzających się wątpliwości w osobnych tekstach, albo... przez zmianę programu?!

Na czele państwa ...

"Na czele Państwa stoi
Prezydent Rzeczypospolitej"

Art.2 ust.1 Konstytucji

Dwie konstytucje Rzeczypospolitej Polskiej odmiennie kształtowały ustrój odrodzonego Państwa. Ustrój Rzeczypospolitej, a właściwie organizacja władz centralnych, przeszedł znaczną ewolucję. Wprowadzona u zarania niepodległości konstytucja 17 marca 1921 r. ustanowiła przemożną rolę Sejmu, który przez wtrącanie się w kompetencje władzy wykonawczej anarchizował Państwo. Sytuację poprawiła nowela tej konstytucji z 2.VIII.1926 r. przyznająca prezydentowi prawo rozwiązywania Izb i wydawania dekretów, także regulująca sprawy budżetowe. Generalną zmianą, ustanowieniem systemu z silną władzą prezydencką było uchwalenie konstytucji z 23 kwietnia 1935 r. Poza tymi fundamentalnymi różnicami obie konstytucje ustanowiły odmiennie zasady obieralności Prezydenta Rzeczypospolitej, czym zajmę się bliżej.

Regulacje konstytucyjne

Według art.39 konstytucji marcowej "Prezydenta Rzeczypospolitej wybierają na lat siedm bezwzględną większością głosów Sejm i Senat, połączone w Zgromadzenie Narodowe". Następny artykuł 40 mówi zaś, że Marszałek Sejmu jest osobą urzędową, która zastępuje Prezydenta w razie śmierci, zrzeczenia się urzędu lub innej przyczyny. Tym systemem wybrano prezydentów Narutowicza, Wojciechowskiego i Mościckiego.

Konstytucja kwietniowa, w miejsce przejrzystego tworzenia Zgromadzenia Narodowego przez złączenie się Izb Poselskiej i Senatorskiej ustanowiła procedurę bardziej skomplikowaną. Elektorzy na Zgromadzenie Elektorów mieli być wybierani w ilości 50 przez Sejm, 25 przez Senat, a pozostała piątka z urzędu /Marszałek Senatu, Marszałek Sejmu, Premier, Pierwszy Prezes Sądu Najwyższego i Generalny Inspektor Sił Zbrojnych/. Kandydata na Prezydenta wybrać miało Zgromadzenie Elektorów i kandydat ten uznawany

Stanisław Plewako, lat 33, pracownik naukowy Polskiej Akademii Nauk, internowany przez pół roku 1982 w Białolecie, jest obecnie członkiem Tymczasowego Zarządu Regionu "Mazowsze" NSZZ "Solidarność" i zgodził się także reprezentować kwartalnik i Grupę Polityczną "Samostanowienie".

Podajemy adres naszego przedstawiciela: Stanisław Plewako, IBB PAN, 02-532 Warszawa, ul.Rakowiecka 36, pokój 48, telefon: 49-01-71 w. 505.

miał być za wybranego, o ile ustępujący prezydent nie wskazałby innego kandydata. W takim przypadku ustępujący prezydent miał się odwołać do opinii całego społeczeństwa, które w głosowaniu powszechnym miałoby zdecydować o wyborze następnego prezydenta.

System elektoratu złożonego z wybranych przez Sejm i Senat najgodniejszych przedstawicieli społeczeństwa był cokolwiek sztuczny, skoro zakładał, że kwalifikacje członka Parlamentu nie wystarczają, by wybrać Prezydenta. Prosty i klarowny system roku 1921 wzbogacony został natomiast uprawnieniem wskazania kandydata przez ustępującego prezydenta i poddania pod osąd obywateli, który z kandydatów byłby godniejszy sprawowania najwyższego urzędu w Państwie.

Cały powyższy ustęp o zasadach wyboru Prezydenta wg. konstytucji kwietniowej opisałem w formie procedury, która nie zaczęła być stosowana, bowiem konstytucja ta uchwalona została na 5 lat przed wybuchem wojny. Nowością konstytucyjną był natomiast przepis, który wielokrotnie już został wykorzystany. Brzmi on następująco /art.24 Konstytucji/:

- "1/ W razie wojny okres urzędowania Prezydenta Rzeczypospolitej przedłuża się do upływu trzech miesięcy od zawarcia pokoju; Prezydent Rzeczypospolitej osobnym aktem, ogłoszonym w gazecie rządowej, wyznaczy wówczas swego następcę na wypadek opróżnienia się urzędu przed zawarciem pokoju.
- /2/ W razie objęcia przez następcę urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej, okres jego urzędowania trwa do upływu trzech miesięcy od zawarcia pokoju".

Następstwo w trybie wyjątkowym

Po przejściu na terytorium rumuńskiej Bukowiny w dniu 17 września 1939 r. Prezydent i Rząd znaleźli się w sytuacji niespodziewanej. Rumuni po przewiezieniu władz polskich do oddalonej od granicy Mołdawii udzielili przymusowej gościny zamiast "droit de passage" - prawa przejazdu rządu sojuszniczego, oferowanego jeszcze parę dni wcześniej w Kutach. Jak dowodzi w "Najnowszej historii politycznej Polski" Władysław Pobóg-Malinowski niemiecko-sowieckie interwencje w celu zatrzymania władz Rzeczypospolitej nastąpiły później niż fakt zatrzymania. Był to rodzaj spisku opozycyjnych kół polskich zmierzającego do odsunięcia ekipy sanacyjnej, odpowiedzialnej w opinii ówczesnych Polaków za wrześniową klęskę. Ten swoisty zamach stanu - jeśli włączyć interwencję francuską przeciw zaprzysiężeniu na prezydenta rzymskiego ambasadora RP gen. Bolesława Wieniawy-Długoszewskiego - spowodował przekazanie prezydentury w ręce niekontrowersyjnego dla opozycji Władysława Raczkiewicza. Odpowiedni dekret opublikowany został 29 września 1939 r. w Monitorze Polskim. 30 września 1939 r. Ignacy Mościcki zrezygnował z urzędu prezydenta, przesyłając też następcy oryginał Konstytucji i pieczęć Prezydenta Rzeczypospolitej - symbole ciągłości Państwa. Tego samego dnia nowy Prezydent, były wojewoda i marszałek Sejmu, ówczesny prezes ŚWIATPOLU /Światowego Związku Polaków/, został zaprzysiężony w obecności osób urzędowych, które stwierdziły to swoim podpisem zgodnie z wymogiem art.19 ust.2 Konstytucji. Byli wśród nich ambasador RP we Francji Juliusz Łukasiewicz i gen. Władysław Sikorski oraz Szef Kancelarii Cywilnej Prezydenta - dr Stanisław Łepkowski.

W czasie wojny, zgodnie z art.24 Konstytucji następcami pre-

zydenta Raczkiewicza byli ogłoszeni kolejno:

- gen. Kazimierz Sosnkowski /Monitor Polski, Paryż, 16.X.1939/
- Tomasz Arciszewski /Dziennik Ustaw RP, Londyn, 10.VIII.1944/
Monitor Polski został zawieszony dekretem z dnia 12.VII.1940 r., gazetą rządową w rozumieniu art.24 ust.1 pozostał jedynie Dziennik Ustaw RP.

Po ustaniu działań wojennych Prezydent i Rząd RP nadal znajdowali się na uchodźstwie, a Kraj pod kontrolą obcej agentury. Przepis o przedłużeniu urzędowania prezydenta do trzech miesięcy od zawarcia pokoju nie mógł się odnosić do układu poczdamskiego, który był tylko paktem między mocarstwami. Schorowany prezydent Wł.Raczkiewicz, witany pięć lat wcześniej na dworcu londyńskim przez króla angielskiego Jerzego V, był symbolem Polski i wobec cofnięcia uznania Rządowi RP przez mocarstwa alianckie tym bardziej wydawał się potrzebny na swym posterunku. Mimo, że 30.IX.1946 r. upłynęło siedem lat od objęcia urzędu przez Wł.Raczkiewicza, nikt ustąpienia Prezydenta nie żądał. Państwo Polskie na Obczyźnie stopniowo powracało do życia wedle ustaw obowiązujących w czasie pokoju. Wyrazem tego było przyjęcie przez gen.Władysława Andersa tytułu Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych po rezygnacji 8.XI.1946 r. gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego ze stanowiska Naczelnego Wodza.

W dniu 26 kwietnia 1947 r. w Ruthin w Walii przykuty chorobą do łóżka prezydent Raczkiewicz wydał kolejne, ostatnie już zarządzenie o zmianie następcy. Wyznaczony nim został były minister spraw zagranicznych Polski, August Zaleski. Jednocześnie przez mandatariuszy w osobach gen. Andersa i prezesa NIK Tadeusza Tomaszewskiego prezydent Raczkiewicz skierował list do premiera Tomasza Arciszewskiego- zawiadamiający o tej decyzji. Planowana przez Prezydenta bezpośrednia rozmowa z dotychczasowym następcą - premierem Arciszewskim - przed doręczeniem listu przez mandatariuszy nie doszła do skutku z powodu pogorszenia się stanu jego zdrowia. Dlatego 3 czerwca 1947 r. mandatariusze przedstawili Premierowi zarządzenie o zmianie następcy i list osobisty. Dnia 6.VI. ukazał się Dziennik Ustaw z tymi dokumentami. Tego też dnia zakończył w Walii życie IV Prezydent Rzeczypospolitej, uznawany przez część swej kadencji nawet przez historiografię PRL.

Okończono przekazania Urzędu, będące zarazem zmianą opcji politycznej, stanowiły zgrzyt w funkcjonowaniu mechanizmu konstytucyjnego. Co prawda ogłoszenie nominacji i zaprzysiężenie /w obecności licznych osób urzędowych/ prezydenta Augusta Zaleskiego w dniu 9.VI. 1947 r. zostały uznane przez opozycję i kilka państw nadal utrzymujących stosunki dyplomatyczne z londyńskim rządem RP, jednakże stanowiły precedens, wykorzystany przez hochsztaplera J.Sokolnickiego u kresu zaczętego w tych okolicznościach urzędowania Augusta Zaleskiego.

xxx

Po 7 latach urzędowania Augusta Zaleskiego, rozbitcie obozu legalistycznego, zapoczątkowane odejściem socjalistów po odsunięciu T.Arciszewskiego od następstwa, wydawało się być bliskie zażegnania. 14 marca 1954 r. podpisano Akt Zjednoczenia. Według Andrzeja Alberta /Najnowsza historia Polski, część III, wyd. pod-

ziemne Krąg, Pokolenie; Warszawa 1987/ miał on zmienić nieco konstytucję kwietniową /art.79 ust.2 Konstytucji nie upoważnia Prezydenta do zmian Konstytucji w czasie wojny bez upoważnienia Izby Ustawodawczych, rozwiązanych już w 1939 r./, część uprawnień prezydenta przejść miała na Radę Jedności Narodowej, mianowaną przez partię. "W warunkach emigracyjnych zmiany te były może i uzasadnione, ale podkopywały legalne podstawy władz emigracyjnych" napisał A. Albert. Było to powodem wahań Augusta Zaleskiego i odmowy podpisania Aktu Zjednoczenia przez premiera Jerzego Hryniewskiego, Stronnictwo Ludowe "Wolność", socjalistów Pragiera i grupę Stanisława Cata-Mackiewicza. Gdy nazajutrz po podpisaniu Aktu Zjednoczenia gen. Sosnkowski zjawił się po uzgodnionej nominacji na następcę, Prezydent Zaleski odroczył decyzję o trzy miesiące, do upływu siedmioletniej kadencji prezydenckiej. Wywołało to protesty i naciski. 9.VI.1954 r. August Zaleski zamiast abdykować powołał nowy rząd z Catem-Mackiewiczem na czele, w reakcji na co partie reprezentowane w Akcie Zjednoczenia przestały uważać go za prezydenta, a 8.VIII.1954 r. powołały Radę Trzech, organ tymczasowo zastępujący prezydenta, w składzie: gen. Wł.Anders, T.Ar-ciszewski, E.Raczyński.

Kadencyjność można traktować w warunkach uchodźstwa jako chęć zwiększenia wpływu emigracji na politykę, nie zaś jako wymóg konstytucyjny. Legalizm Rzeczypospolitej Polskiej opiera się na tych artykułach Konstytucji, które dotyczą sytuacji wyjątkowej i przedłużają kadencję do trzech miesięcy od zawarcia pokoju. Zatem legalizm RP, w przeciwieństwie np. do legalizmu działaczy Grupy Robotniczej Komisji Krajowej NSZZ "Solidarność", ma podstawy prawne. W przypadku "Solidarności" kadencje członków Komisji Krajowej, jak i przewodniczącego Lecha Wałęsy, wygasły na mocy statutu po dwóch latach, a jedyną siłą utrzymującą przez następne lata związek była postawa jego członków.

Rzeczą rozumnego pragmatyzmu konstytucyjnego było powołanie reprezentacji quasiparlamentarnej /Rady Narodowej RP/ i wyposażenie jej mocą dekretu prezydenckiego w uprawnienia rzeczowego parlamentu. Jednakże nawet przy częściowych wyborach Rada Narodowa pochodzi ostatecznie z nominacji prezydenta i nie może decydować o sprawach będących poza jego prerogatywami. Istnienie konstytucji normującej te sprawy odróżnia polską emigrację niepodległościową nie tylko od NSZZ "Solidarność" stanu wojennego - ale bliżej - od rozbitych na rozmaite komitety emigracji czeskiej, węgierskiej itd., mimo, że narody te mają opinię zdyscyplinowanych i zorganizowanych.

U schyłku życia Augusta Zaleskiego polska emigracja polityczna podzielona była jednak nadal na niechętnie nastawione do siebie obozy. W 1970 r. zainicjowane zostały kontakty między rządem premiera Zygmunta Muczniewskiego i Egzekutywą Zjednoczenia Narodowego, mające doprowadzić do połączenia zwanionych od 1954 r. stron. Wreszcie 8.III.1971 r. nastąpiło spotkanie przewodniczącego Egzekutywy Kazimierza Sabbata z prezydentem Augustem Zaleskim. Dalszy postęp nie nastąpił z powodu mianowania 24.II.1971 r. przez Prezydenta swego następcy, którym został ostatni przedwojenny prezydent Lwowa, Stanisław Ostrowski /Dz. Ustaw RP nr 2 z 25 lutego 1971 r./.. Rok później, 7 kwietnia 1972 r. zmarł prezydent August Zaleski i został pochowany na cmentarzu lotników polskich w Northolt obok prezydenta Władysława Raczkiewicza. Od-

tąd będzie to tradycja: zmarły w 1984 r., pięć lat po opuszczeniu urzędu, Stanisław Ostrowski tamże został pochowany.

Prezydent St. Ostrowski zaprzysiężony został w dwa dni po śmierci prezydenta Zaleskiego w obecności 14 osób urzędowych /w tym premiera Muchniewskiego i ministrów/, które zgodnie z art. 19 ust. 2 Konstytucji stwierdziły podpisem akt złożenia przysięgi. Prezydent Ostrowski podjął energiczne kroki na rzecz połączenia obydwu obozów uznających Konstytucję 1935 roku za obowiązującą. 15 września 1972 r. sformułowane zostały zasady porozumienia będące odtąd podstawą działania scalonego ośrodka politycznego. W sprawie uprawnień konstytucyjnych Prezydenta ograniczonych tzw. umową paryską z 30.XI.1939/22.X.1940 r. porozumienie nadało jej następującą wykładnię:

"Rozumiemy przez to, że Prezydent Rzeczypospolitej uprawnień swoje w zakresie wyznaczania następcy Prezydenta i mianowania Prezesa Rady Ministrów wykonywać będzie w ramach Konstytucji i na podstawie konsultacji stronnictw i ugrupowań wchodzących w skład przedstawicielstwa narodowego".

Prezydent Ostrowski jeszcze w tym samym roku, w grudniu 1972, wyznaczył swym następcą hr. Edwarda Raczyńskiego, ambasadora RP w Londynie w latach 1934-1945, do niedawna członka Rady Trzech. Oznaczało to zakończenie kryzysu konstytucyjnego. Dokładnie po siedmiu latach ustąpił z urzędu przekazując władzę nad znacznie wzmocnionym ośrodkiem legalistycznym, skupiającym 90% emigracji żołnierskiej. Dalszy wzrost autorytetu Rządu RP i jego znaczenia politycznego nastąpił w czasie również siedmioletniej kadencji Prezydenta E. Raczyńskiego /8. IV. 1979-8. IV. 1986 r./. Osmym Prezydentem Rzeczypospolitej, od dnia ustąpienia Edwarda Raczyńskiego jest Kazimierz Sabbat, poprzednio przez lat 10 premier emigracyjnego rządu polskiego.

Sokolnickiego "sprawdzanie konstytucji"

W przeciwieństwie do przepisów wyboru prezydenta w czasach pokoju, które nie przeszły praktycznego sprawdzianu, przepisy następstwa w czasie wojny były stosowane wielokrotnie. Afera samowolnego "Prezydenta Wolnej Polski" jak się często podpisuje /tytuł konstytucyjny brzmi: Prezydent Rzeczypospolitej/ Juliusza Sokolnickiego warta jest prześledzenia nie tylko po to, by znać fakty^{x/}, ale i ze względu na skuteczność konstytucyjnych zabezpieczeń w Ustawie Zasadniczej 1935 r.

J. Sokolnicki, w 1971 Minister Spraw Krajowych w gabinecie Zygmunta Muchniewskiego, nawiązał kontakty ze środowiskami siódmokostw niemieckich w RFN i USA, godząc się na przyszłe koncesje terytorialne co do Ziemi Odzyskanych. Sygnały o tym zaczęły nadchodzić od połowy 1971 r. Datowany 20 listopada 1971 r. raport ówczesnego Delegata Rządu w USA p. Szygowskiego, zawierający konkretne informacje obciążające, spowodował już w dniu 25 listopada dymisjonowanie Sokolnickiego. Kiedy parę miesięcy później, 7 kwietnia 1972 r. umiera prezydent Zaleski, aferysta zgłasza się z fotokopią rzekomego Zarządzenia Prezydenta z 22. IX. 1971 r.

x/ Inne aspekty tej afery były już omawiane w Sst nr 6: "Uwaga szalencie" i Sst nr 8: "Komunikat prasowy GP "Sst"

/a więc z okresu konkretyzowania zarzutów przeciw niemu/ o wyznaczeniu go na następcę. Sokolnicki okazuje także Dziennik Ustaw nr 1 z 7 kwietnia 1972 r. z tym zarządzeniem. Jak stwierdził Dyrektor Kancelarii Cywilnej Prezydenta RP Paweł Jankowski /w rękach którego spoczywała odpowiedzialność za pisma urzędowe i przechowywaną w Kancelarii Cywilnej pieczęć prezydencką - bez wiedzy którego nie może użyć jej nawet Prezydent!/ zarządzenie takie nie istniało, zaś Minister Sprawiedliwości Sylwester Karalus, który jako jedyny może zlecić tłoczenie Dziennika Ustaw RP, stwierdził to samo o druku. Nigdy też Sokolnicki nie potrafił wskazać osób obecnych przy zaprzysiężeniu - zgodnie z art.19 ust.2 koniecznych dla ważności aktu. Nie mogły to być inne, "nowe" osoby urzędowe, bo przed złożeniem przysięgi Prezydent w myśl Konstytucji nie urządzuje, zatem nie może też mianować rządu. Znalazłszy się w takiej pułapce konstytucyjnej, po stanowczym odrzuceniu jego roszczeń przez Dyrektora Kancelarii Cywilnej i Ministra Sprawiedliwości podejmuje decyzję rezygnacji "w obecnej chwili" z uprawnień wynikających ze sfalszowanego zarządzenia Prezydenta Zaleskiego. W liście do Prezydenta Ostrowskiego z 11 kwietnia 1972 r. uznaje go za legalnego Prezydenta Rzeczypospolitej. Jednakże pół roku później wycofuje "warunkową" rezygnację, "składając" od tego dnia z urzędu legalnego Prezydenta Rzeczypospolitej. Rewelacje te ogłasza w pierwszym numerze pisma "Głos Wolnej Polski". Zapewne nie przypadkiem jego agentura w Polsce, która w 1987 r. wydała 3 numer piśmka "Ku Przyszłości" /nie spotkaliśmy dotąd nikogo, kto by widział nr 1 lub 2/ nosi nazwę "Służba Wolnej Polsce".

Trybu złożenia Prezydenta z urzędu przez odwołanie warunkowej rezygnacji nie tylko nie przewiduje konstytucja kwietniowa, ale byłoby to kuriozum prawne w skali światowej^{x/}. Możliwość złożenia Prezydenta z urzędu w konstytucji kwietniowej istnieje. Art.22 stanowi, że "jeżeli Prezydent trwale nie może sprawować urzędu, Marszałek Senatu zwoła połączone Izby Ustawodawcze celem rozstrzygnięcia, czy urząd Prezydenta należy uznać za opróżniony". Izby zostały rozwiązane już 2 listopada 1939 r., a dopiero statut Rady Narodowej RP /ciała zastępującego Izby/ z 1973 r. przywraca możliwość usunięcia Prezydenta. Ewentualność taką należy traktować jedynie jako przeniesienie prawa abdykacji w przypadkach szczególnych z osoby prezydenta na Radę. Takie uprawnienie nadaje Radzie Prezydent, jako że dekretem ustanawia Radę i jej statut. Zarazem to przeniesienie odpowiada kompetencjom połączonych Izb. Takie traktowanie Ustawy Zasadniczej - wierne jej duchowi i nie ograniczające konstytucyjnych uprawnień członków władzy - nazwać można by właśnie pragmatyzmem konstytucyjnym. To samo odnosi się do cytowanej wyżej interpretacji z 1972 r. porozumienia paryskiego, nie byłoby nim natomiast doraźne zmienianie zasad konstytucji lub traktowanie przepisów konstytucyjnych jako parawanu działań z nią sprzecznych /vide: Sokolnicki/.

^{x/} W świetle przytoczonych faktów dziwi dziecięcy wprost brak orientacji Lecha Wałęsy, który 4 lutego 1988 r. w obecności licznych doradców i przedstawicieli zagranicznych przyjął przesiane przez aferzystę odznaczenie. Wydarzenie powyższe każe wątpić w sprawność sławetnego sztabu doradców, który ma unieść ciężar rozmów "okrągłego stołu" z komunistami. Należałoby też oczekiwać, że Lech Wałęsa wycofa się z tego błędu i odetnie od aferzysty.

Powrót z uchodźstwa

Następcą Kazimierza Sabbata został wyznaczony po konsultacji stronnictw politycznych Ryszard Kaczorowski, b. Naczelnik Harcerzy polskich na obczyźnie i Minister Spraw Krajowych w aktualnym gabinecie prof. Edwarda Szczepanika. Jeśli w 1993 r. przejmie on urząd Prezydenta, to powinien być Głową Państwa do roku 2000. Należy domniemywać, wobec ogromnego przyspieszenia wydarzeń, że za kadencji któregoś z nich Pieczęć i Konstytucja wrócą do Polski. Przeanalizujmy zatem, co konstytucja kwietniowa mówi na ten temat.

Artykuł 16 powierza wybór Prezydenta Zgromadzeniu Elektorów wybranemu przez Sejm i Senat, a w razie wskazania przez ustępującego Prezydenta innej kandydatury - obywatelom w głosowaniu powszechnym. W pewnych przypadkach wybory powszechne mogłyby być utrudnione lub niewłaściwe. Generalnie obowiązuje jednak oświadczenie Prezydenta Władysława Raczkiewicza z dnia 29 czerwca 1945 r. podtrzymane przez następców:

"Prawo Rzeczypospolitej włożyło na mnie obowiązek przekazania po zawarciu pokoju, urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej, w ręce następcy powołanego przez Naród w wolnych od wszelkiego przymusu i wszelkiej groźby, demokratycznych wyborach. Uczynię to niezwłocznie, gdy Naród będzie w stanie wyboru takiego dokonać".

To zobowiązanie określa precyzyjnie, kiedy urząd ten powróci do Polski. Broni też przed możliwością uzurpacji. Może się jej tym razem dopuścić ktoś inny niż emigracyjny aferzysta. Powodem obaw są zdradzane przez komunistów zamysły wprowadzenia w PRL silnej władzy prezydenckiej z wyłącznymi kompetencjami co do wojska, policji i polityki zagranicznej. Poprzez usunięcie tych spraw z zasięgu odpowiedzialnego przed sejmem PRL rządu /w obu ciałach znaleźć mieliby się też przedstawiciele opozycji!/ ekipa rządząca chce zagwarantować sobie zachowanie rzeczywistej władzy i współodpowiedzialność opozycji.

Wreszcie sprawa tytułu - gdyby nawet gen. Jaruzelski przyjął tytuł Prezydenta RP a nie PRL, co sugerują niektórzy obrońcy tradycji, to i tak będzie to tylko nawiązanie do pierwszej prezydentury w Polsce polubelskiej - Bieruta. Obciążenia dziedzictwa stalinowskiego, bierutyźmu, nie zmazałyby nawet przyjęcie konstytucji roku 1935, jeszcze niedawno obrzucanej błotem. Dzięki przepisom okresu wyjątkowego każde przyjęcie konstytucji kwietniowej poza legalną strukturą, kontynuowaną politycznie i prawnie na emigracji, będzie tylko zwykłą uzurpacją.

Stanisław J. Plewako

Podziękowanie: Znajomemu mojemu Ojca z czasów gimnazjalnych w Mińsku Litewskim, Panu Bohdanowi Wendorffowi, bardzo dziękuję za długą rozmowę, która była zarówno inspiracją jak i uzupełnieniem wiadomości potrzebnych do napisania tego artykułu. S.P.

Kto kogo rozbroi?

Rozbrojenie nie jest celem samym w sobie. Ta oczywista prawda wydaje się jednakże umykać wielu politykom, nie mówiąc już o zwykłych ludziach. Państwa zachodnie, podchodząc do kontroli zbrojeń w duchu pragmatycznym, traktują rozbrojenie jako zerwanie z polityką siły, Związek Sowiecki zaś, jako narzędzie walki politycznej. W tym też kontekście należy rozpatrywać ostatnie wystąpienia Sowietów i ich satelitów.

Gorbaczow - mistrz spektakularnego rozbrojenia, w grudniu ub. roku, na krótko przed oczekiwanym rozpoczęciem nowych rokowań na temat redukcji zbrojeń konwencjonalnych, wystąpił z propozycją jednorazowych cięć w sowieckich siłach zbrojnych. Redukcje te /500 tys. ludzi, 10 tys. czołgów, 8.500 dział, 800 samolotów/, zbyt małe, aby położyć kres sowieckiej przewadze w Europie, wywarły olbrzymie wrażenie na zachodnich przywódcach i społeczeństwach.

Najmniej istotna jest zapowiedź redukcji personelu wojskowego. Pół miliona ludzi to zaledwie 10% stanu sowieckiej armii. Gdy Chiny kilka lat temu zdemobilizowały milion żołnierzy, aby zaoszczędzić pieniądze, a Francja w ciągu ostatnich lat jednostronnie zmniejszyła liczbę swoich żołnierzy o 10%, to nikt nie mówił o początku "nowej ery".

Jeśli chodzi o sprzęt to zapowiedziane redukcje równają się około 1/4 liczby czołgów, 1/6 dział i 1/10 samolotów, rozmieszczonych między Atlantykiem a Uralem. Nawet po dokonaniu tych redukcji NATO byłoby bardzo dalekie od uzyskania parytetu sił. Najbardziej interesujące są zapowiedzi wycofania 50 tys. ludzi /na łączną liczbę 360 tys./, 6 dywizji pancernych i 5 tys. czołgów z NRD, Węgier i Czechosłowacji, ale nie wiadomo, jakie czołgi zostaną wycofane /nowoczesne T-80 czy inne/, czy zaplecze logistyczne pozostanie nienaruszone i kto to wszystko będzie weryfikował.

W drugiej połowie stycznia br. nastąpił akt drugi "pokojowej ofensywy". Polska, Węgry, NRD, Czechosłowacja i Bułgaria zapowiedziały, że jednostronnie zredukują swe siły zbrojne. Zapowiedziane cięcia /od 5 do 10% stanów armii i uzbrojenia/, choć są jedynie hipotetyczne i nie zlikwidują nierównowagi w Europie między siłami lądowymi NATO i UW /przewaga państw UW w tej kategorii wojsk wynosi 2:1/, już przynoszą strategiczne i dyplomatyczne korzyści.

Partia FDP, do której należy H.D.Genscher, uchodzący za szefa przeciwników modernizacji broni nuklearnej krótkiego zasięgu, uważa że decyzje te zobowiązują NATO do pójdęcia jeszcze dalej w kierunku rozbrojenia. Socjaldemokraci i "Zieloni" wyrazili pogląd, iż RFN powinna jak najszybciej zareagować analogicznymi krokami rozbrojeniowymi. Ekspert SPD Egon Bahr stwierdził, że "prawidłową odpowiedzią z naszej strony byłoby na przykład wycofanie 2000 spośród 4000 taktycznych głowic atomowych". Frakcja parlamentarna "Zielonych" jest zdania, że "proces pokojowy w Europie zyskałby zdecydowany doping, gdyby oba państwa niemieckie uczestniczyły w nim konkretnymi, jednostronnymi posunięciami roz-

brojeniuymi".

Natychmiastowego wsparcia tym postulatом udzielili dziennik "Neues Deutschland", wzywając NATO i Republikę Federalną do "dania istotnego wkładu" na rzecz rozbrojenia. Pismo to twierdzi, że rozbrojenie "może być na dłużą metę urzeczywistnione jedynie, opierając się na zasadzie wzajemności", podkreślając w tym kontekście, że takie pojęcia, jak modernizacja rakiet nuklearnych krótkiego zasięgu lub koncepcja odstraszenia straciły już dziś aktualność.

Marszałek Sergiej Achromiejew, doradca wojskowy Michaiła Gorbaczowa zarzuca Zachodowi, iż ten "przygląda się" jedynie jednostronnym krokom rozbrojeniowym UW i "sam nie czyni nic w tym względzie".

Gesty czynione przez UW mają wyraźnie na celu zwiększenie nacisku na RFN, uważaną i tak za słabe ogniwo NATO. Im więcej kraje UW zapowiadają będą nowych posunięć w dziedzinie rozbrojenia, tym trudniej będzie przywódcom z Bonn przekonać swe społeczeństwo o konieczności modernizacji broni nuklearnej krótkiego zasięgu, co zwiększa także perspektywę poważnego konfliktu w tej kwestii ze Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią.

Temu też celowi miało służyć wydane pod koniec stycznia br. oświadczenie Komitetu Ministrów Państw Stron Układu Warszawskiego. Jak stwierdza oświadczenie "równowagę militarną w Europie, uwzględniając wszystkie jej części składowe - można scharakteryzować jako przybliżoną równowagę, nie stwarzającą możliwości tej, czy innej stronie zdecydowanej przewagi militarnej". W związku z zapowiedzianymi wcześniej przez państwa UW jednostronnymi redukcjami Komitet "wyraża nadzieję, że państwa NATO okażą analogiczną gotowość do szybszego podążenia naprzód na drodze umocnienia stabilności i bezpieczeństwa w Europie, w tym poprzez jednostronne działania redukcyjne sił zbrojnych i zbrojeń". Przytoczone w raporcie dane mają przekonać zachodnią opinię publiczną o przybliżonym parytecie w siłach zbrojnych NATO i UW, próbując zastraszyć istnienie zasadniczych rozbieżności między danymi zawartymi w oświadczeniu, a danymi z publikacji NATO /25 listopada br./ "Siły konwencjonalne w Europie: fakty" /Sst nr 8/.

Wszystko to pada na bardzo podatny grunt. Podczas gdy Amerykanie z coraz większym uporem wspominają o koncepcji masowego wycofania ich wojsk /od 100 do 150 tys. żołnierzy/, to Zachodnia Europa urzędująca przedstawienie bierności i podziałów. Gdy era protektoratu amerykańskiego w Europie zaczyna właśnie się kończyć /rozmiar amerykańskiego deficytu, redukcja wysiłku obronnego Pentagonu, a zwłaszcza ewoluowanie opinii w USA, tak wśród demokratów jak i republikanów/ oznaki niebezpieczeństwa stają się obecnie oczywiste. Opory RFN sprawiają, że coraz trudniej w NATO podejmować sprawę modernizacji broni nuklearnych, chociaż modernizacja stała się tym bardziej pilna, że układ INF oraz szybkie starzenie się obecnie rozmieszczonych broni taktycznych, stwarzają ryzyko faktycznej denuklearyzacji Niemiec.

Wszędzie budżety wojskowe, już i tak w stagnacji i regresji, zmniejszają się z powodu inflacji kosztów uzbrojenia, nie mówiąc już o protekcjonizmie wewnętrznym, który nadal charakteryzuje przemysły zbrojeniowe. Niepokoi niezdolność do uzgodnienia polityki wobec Wschodu i strategii wojskowych: każdy ma własną wizję pokoju... czy też wojny. Zupełnie tak, jakby w Europie było miej-

sce dla wielu polityk Wschodu. Bez aktywności w dziedzinie politycznej i wojskowej EWG może się zawalić z powodu bałkanizacji polityki bezpieczeństwa. Ironia polega na tym, że ryzyko takiego rozwoju wypadków zachodzi w chwili, gdy kraje zachodnie wydają się wygrywać walkę polityczną i ideologiczną, jaką im wydał Związek Sowiecki. Ale może zapanowało już wspólne marzenie o nowej Mitteleuropie, o wycofaniu Amerykanów, o wspólnym domu "made in USSR"?

Dająca się zauważyć zmiana w podejściu Moskwy do wielu problemów nie powinna być celem, lecz warunkiem wstępnym kontroli zbrojeń. Dotychczas słychać było mnóstwo obietnic ze strony Sowieców, ale czy sowiecka polityka wewnętrzna i zagraniczna zmieniły się w zasadniczy sposób? Pomysł, że Sowieci odegrają pozytywną rolę w negocjacjach, mających na celu zapewnienie bezpieczeństwa państwom zachodnim, gdy swój wysiłek skupiają na przyszyłym ich zniszczeniu, jest absurdem.

Jeśli Związek Sowiecki dotychczasowe wydatki na zbrojenie musi rzeczywiście przeznaczyć na inne cele, jeśli istnieje tendencja do zmniejszenia tych wydatków, to dokona się to i tak bez pomocy Zachodu. Jeśli Moskwa nie jest skłonna do dokonania zmian podziału wydatków bez nowych koncesji ze strony Zachodu, wyrażenie nie o pokój tu chodzi. Jeżeli możliwość unormowania stosunków istnieje, to zapewne szybko nie zniknie, jeśli zaś okaże się chwilowa, to jest jedynie złudzeniem, a nie rzeczywistością polityczną. Gdy dzisiejsza "polityka pokojowa" Sowieców zmieni kierunek na przeciwny, osłabienie możliwości obronnych Zachodu będzie rzeczą bardzo trudną do naprawienia.

Ponadto znaczne odprężenie, które nastąpiło, przynosi i będzie przynosić Sowiecom kapitał i technologię Zachodu. Na ironię zakrawa fakt, że nie po raz pierwszy Sowieci będą mogli wykorzystać zachodnie fundusze i myśl technologiczną w celu odbudowania własnej potęgi gospodarczej i militarnej, po to tylko, aby ponowić ze zdwojoną siłą wyzwanie rzucone światu.

Jeżeli Gorbaczow wygra walkę o serca i umysły zachodniej opinii publicznej, a rządy zachodnie nie będą w stanie doprowadzić do zmiany nastawienia swych społeczeństw, to będą się pojawiać coraz większe trudności w rokowaniach z Moskwą, podziały w łonie sojuszu będą coraz większe, a realizacja programów obronnych coraz trudniejsza.

Związek Sowiecki: między obawą a nadzieją

Przemiany świadomości i zachowań politycznych a reformy Gorbaczowa

W bez mała 4 lata po przejęciu władzy przez Gorbaczowa mieszkańcy Związku Sowieckiego miotają się pomiędzy nadzieją a obawami. Strach przed gwałtownym zwrotem wraz z wprowadzeniem stanu wyjątkowego albo "komunizmu wojennego", którym towarzyszyłaby polityka szczególnie surowych represji a nawet wojna domowa. Nadzieja, bowiem nigdy jeszcze - jak długo bolszewicy pozostają u władzy - nie istniał taki zakres wolności słowa, czy tak niewielkie represje a to dlatego, że klimat intelektualny w kraju uległ tak daleko idącym przeobrażeniom, iż po raz pierwszy mamy w Związku Sowieckim do czynienia ze swego rodzaju opinią publiczną. Likwidację tematów "tabu", niedostępnych w przeszłości dla prasy i literatury można - w istocie rzeczy - porównywać do rewolucji: bardziej rewolucji w sferze świadomości niż "rewolucji odgórnej". Miały więc miejsce potężne procesy społeczne, które błyskawicznie uzyskały własną dynamikę, szczególnie w odniesieniu do peryferii imperium; potężne dlatego, że w proces przemian zaangażowane są milionowe masy, a nie tylko stosunkowo wąska warstwa inteligencji.

Z ogromnym trudem udało się uruchomić te wszystkie odśrodkowe prądy nacjonalistyczne, z których istnienia Gorbaczow zdawał sobie sprawę, proklamując - nie jak się przypuszcza samodzielnie, lecz w ramach kolektywnego kierownictwa - "głasność" i "piestrojkę". Dzisiejsza "głasność" sięga o wiele dalej niż, jak to pierwotnie planowano, możliwość "składania publicznych donosów" tzn. społeczną kontrola biurokracji. Rezygnując z tradycyjnych, sowieckich form rządzenia Gorbaczow dowiódł niewątpliwie dużej odwagi /nawet jeśli miałaby to być odwaga człowieka ogarniętego rozpaczą/ i - świadomie czy też nieświadomie - podjął nie dające się oszacować ryzyko.

Autorka artykułu, córka byłego prezydenta Bundestagu, podczas drugiej wojny światowej związanej z antyhitlerowską grupą Stauffenberga, jest redaktorem naczelnym niemieckiej edycji kwartalnika "Kontinent" oraz stałą współpracownicą pisma "Die Welt". Drukowana tu analiza przemian świadomości społeczeństwa sowieckiego napisana została specjalnie dla polskich odbiorców.

To przede wszystkim "głasności" należy zawdzięczać, że niezliczone rzesze ludzi sowieckich powoli wyzwalają się z panującego od dziesięcioleci poczucia strachu. /Kierowany przez wybitną ekonomistkę i socjologa Tatianę Zaslawską, nowo założony instytut badania opinii publicznej reprezentuje pogląd, że potrzeba będzie jeszcze trzech pokoleń, zanim ludność sowiecka pozbędzie się strachu, głęboko zakorzenionego od czasów Stalina/.

"Głasność" stwarza jeszcze większe niż przed rokiem możliwości publikacji sensacyjnych materiałów prasowych - szczególnie jeśli chodzi o ich zawartość informacyjną i krytyczny ton. Tyśiące tytułów zostało skreślonych z indeksu, drukuje się zakazanych dawniej autorów /czasami również tych z najmłodszej emigracji/, prześladowani w przeszłości autorzy, jak Pasternak, Achmatowa czy Galicz, zostali pośmiertnie przyjęci na powrót do Związku Pisarzy. Zakłócanie zachodnich rozgłośni radiowych zostało wstrzymane. Z drugiej jednak strony w przygotowaniu znajduje się bardzo restryktywna ustawa prasowa, rejestruje się ponownie zastrzone ingerencje cenzury, a obejmują one bynajmniej nie tylko obłożone przez KC KPZS zakazem druku dzieła Solżenicyna, których publikacja wydawała się już tak bliska. Także filmy i programy telewizyjne stały się przedmiotem ingerencji, przy czym protest autorów czy reżyserów przeciw takim praktykom niekiedy uwieńczony bywa sukcesem. Zwycięstwem, jakie pozostawiło po sobie - być może - największe wrażenie, było cofnięcie radykalnych ograniczeń w prenumeracji za rok 1989, 42 tytułów czasopism szczególnie aktywnie popierających "pierestrojkę".

W ramach "głasności", co prawda jeszcze dość sporadycznie, kwestionowane są w artykułach publicystycznych podstawy systemu, postacie Lenina i Marksa, a nawet sam sens przewrotu październikowego. Niemal każdego dnia z panteonu wątpliwych "bohaterów narodowych" wykreślane są nowe nazwiska. W zamian za to profesor Sacharow, przez długi czas obrażany i dręczony, odbiera publiczne wyrazy hołdu, choć do tej pory nie przywrócono mu odebranych w roku 1980 tytułów i odznaczeń. Cała gorzka prawda o panującej nędzy społecznej, zorganizowanej przestępczości, przestępczości młodocianych, masowej korupcji może wreszcie dotrzeć do opinii publicznej, wygłaszane oficjalnie enuncjacje wykraczają często - dość daleko poza przypuszczenia, zwykle bardzo sceptycznych, zachodnich specjalistów. Są one zresztą odrzucane przez tych zachodnich sowietologów, którzy opisywali rzeczywistość sowiecką - łagodnie mówiąc - przy pomocy eufemizmów, czy to w odniesieniu do stanu zaopatrzenia, nie istniejącej opieki społecznej, liczby ofiar represji politycznych /na wszystkich etapach panowania komunistów/, czy też gospodarki.

Również przedstawiciele tych szerokich kręgów na Zachodzie, w których sowieckich obrońców praw człowieka określano ochoczo jako pozbawioną oparcia w społeczeństwie "garstkę dysydentów", mogą dziś zapoznać się z pozytywnymi ocenami prasy sowieckiej wobec niedawno jeszcze zażarcie prześladowanych działaczy, którzy wywarli większy wpływ na wykształcone kręgi społeczeństwa niż się na ogół przypuszcza i których postulaty, w przeszłości kwitowane milczeniem, znajdują dziś szeroki dostęp do prasy oficjalnej.

Przewyciężenie przeszłości - na razie ograniczone do okresu stalinizmu i "stagnacji" ery breżniewowskiej, poszło tymczasem

dalej niż za czasów odważnych początków Chruszczowa z lat 50-tych. Liczba prześladowanych w okresie stalinowskim szacowana jest w publikacjach oficjalnych na ok. 50 milionów. Jeden z historyków wymienił niedawno liczbę 22 milionów chłopów, którzy stracili życie w okresie dyktatury Stalina, co nieco przekracza nawet maksymalne oceny strony zachodniej /nie mówiąc już o minimalnych/. Caikowitemu demontażowi uległ nimb otaczający Stalina jako naczelnego wodza sił zbrojnych, nie bez okrzyków bólu ze strony jego zatwardziałych zwolenników. Jeden z moskiewskich pracowników aparatu państwowego określił niedawno w prasie dyktatora, jako "największego przestępcę wszystkich czasów i narodów". Nowo utworzona grupa "Memoriał" podejmuje działania m.in. na rzecz ustalenia liczby i losów osób, które straciły życie w okresie stalinowskim, ponieważ archiwa - za wyjątkiem republik nadbaityckich - w dalszym ciągu są niedostępne.

Na tym tle tym bardziej zaskakująca wydaje się postawa chętnie sięgających po represje białoruskich władz partyjnych, na polecenie których niedawno rozpędzono dwa wielkie zgromadzenia. Zostały one zwołane ku czci ok. 300.000 ofiar NKWD, które zostały rozstrzelane w latach 1937-1941 w Kuropatach pod Mińskiem, a których masowe groby zostały odkryte przez archeologów w maju ubiegłego roku /tj. 1987, Sst/. Od tamtej pory na temat Kuropat w prasie sowieckiej napisano dużo, tym bardziej iż przypuszcza się, że w innych regionach kraju istnieje jeszcze wiele podobnych mogił. Bezmyślna reakcja kierownictwa partii białoruskiej na wiec zwołany przez grupę "Martyrolog", podczas którego tysiące ludzi na kolanach przysłuchiwało się relacji archeologa Poźniaka, stanowi pretekst do snucia spekulacji poruszających całą delikatną sferę problemów narodowościowych.

Sprawą o decydującym znaczeniu pozostaje akcja zwalniania setek więźniów politycznych, proces, który w dalszym ciągu jest kontynuowany, aczkolwiek na znacznie mniejszą skalę. Projektowana reforma prawa karnego pozwala, na przykład, żywić nadzieję na modyfikację paragrafów mówiących m.in. o notorycznym antysowiectwie, na podstawie których na kary długoletniego więzienia skazano w latach 70-tych i 80-tych nieprzebrane rzesze ludzi /wielu z nich nie zdołało przeżyć wyroku/. Czy też fakt, że resortem sprawiedliwości będzie kierował dotychczasowy szef KGB Czebrikow okaże się korzystny dla reformy prawa, pokaże przyszłość. Cieszący się jak najgorszą opinią, dotychczasowy sposób wykonywania kary - dziś przedmiot otwartej krytyki - ulegnie być może częściowej humanizacji. Jednocześnie jednak, zgodnie z wprowadzoną zasadą rentowności, przed obozami karnymi stają podwyższone zadania produkcyjne, nakładające na więźniów podwyższone normy, co - znów odwołując się do informacji sowieckich - stanowiło w ostatnim czasie przyczynę wielokrotnych buntów więźniów.

Chociaż informacje o aresztowaniach i skazywaniu przez sądy osób aktywnych politycznie docierają do opinii publicznej, to jednak nikt nie jest w stanie ocenić, jak wielka jest ich liczba np. w regionach znacznie oddalonych od centrum. Nikomu, za wyjątkiem - być może - kompetentnych władz, nie jest znana ogólna liczba więźniów politycznych w ZSSR, przy czym należy wątpić, czy w ogóle dysponuje nią centrala KGB. Podczas gdy na Zachodzie znane są nazwiska ok. 200 takich więźniów, to oficjalne dane sowieckie nie są jednolite. Jedna po drugiej padały liczby najpierw ok.

dwóch tuzinów, następnie 11, potem znów 52 osób itd. Andriej Sacharow stwierdził ostatnio ponownie, że liczba sowieckich więźniów politycznych nie jest znana, że zmienia się ustawicznie i że właściwy problem nie polega na ustaleniu samej liczby. Najistotniejsze jest to, że - przy całym zadowoleniu z faktu zwolnienia każdego więźnia - w dalszym ciągu ludzie aresztowani są za swoje przekonania, dla "zastraszenia innych", tzn. w celu ich zdyscyplinowania i powstrzymania wolnościowych aspiracji. Z uwagi na to nie wydaje się, by Związek Sowiecki w przyszłości całkowicie zrezygnował z aresztowań swoich "politycznych", ani też zlikwidował polityczne paragrafy kodeksu karnego.

Projekty zmierzające do stworzenia w przyszłości praworządnych i demokratycznych struktur państwowych wykazują pośrednio, że do tej pory w ZSSR takowych nie było. W dyskusji opublikowanej w czerwcu w "Litieraturnoj Gazietie" prawnik i publicysta Arkadij Waksberg stwierdza: "O jakim urzeczywistnieniu /praworządnego państwa socjalistycznego/ może tu być mowa jeśli, we właściwym sensie tego słowa, w całej historii naszego państwa, nawet przez jeden jedyny dzień, nie było praworządności". Waksberg ograniczył swoją wypowiedź celowo do historii Związku Sowieckiego, wskazując jednocześnie na znaczne osiągnięcia w tym zakresie przedrewolucyjnej Rosji.

Pomimo niekwestionowanych ułatwień wprowadzonych dla obywateli sowieckich /np. w zakresie swobody podróżowania/ nie spowodowały one poprawy nastawienia społeczeństwa wobec Gorbaczowa. Dziś, kiedy szef partii znacznie rozszerzył zakres swojej władzy, jego obciąża się odpowiedzialnością za sukces lub porażkę "pierestrojki". Do tej pory jednak nie widać oznak, które świadczyłyby o przezwyciężaniu kryzysu samego systemu, a ten rozpoczął się wraz z pojawieniem się oznak jego trwałości. System sowiecki, niezgodny do rozwiązania własnych problemów gospodarczych, wyrodził się w system, którego jedynym celem jest utrzymanie władzy. Powstrzymanie, dziś już lawinowego, procesu rozkładu, stanowi problem, z którym musi zmagać się kierownictwo sowieckie. Jednocześnie chodzi o to, aby powstrzymać upadek społeczeństwa, które przez 70 lat było poniewierane, rządzone nieudolnie, systematycznie prześladowane, dziesiątkowane fizycznie, wprowadzane w błąd i okamywane, które - w izolacji od świata zewnętrznego - pozbawione zostało możliwości, czy też umiejętności efektywnej pracy i które, na koniec, w masie swojej pozbawione motywacji działania, nie daje już wiary żadnym obietnicom. Wyjście z kryzysu gospodarczego, a odnosi się to w chwili obecnej do całego bloku wschodniego, byłoby prawdopodobnie łatwiejsze, gdyby istniała wiara w możliwość jego przezwyciężenia.

Fakt, że zakres sprawiedliwości społecznej w krajach socjalistycznych jest dziś mniejszy, niż w krajach o rozwiniętej gospodarce rynkowej, nie jest prawdopodobnie znany szerokim kręgom społecznym w Związku Sowieckim. Jednak prawdę, iż zaopatrzenie uległo pogorszeniu w stosunku do krytykowanego okresu "stagnacji", widać jak na dłoni. Pod presją "głośności" obywatele sowieccy coraz bardziej uświadamiają sobie, że ich system ponosi całkowitą porażkę w konkurencji z Zachodem. Poza tym, możliwości jakie stwarza "głośność" dla prezentacji alternatywnych koncepcji gospodarczych, społecznych czy politycznych przyczyniają się do powiększenia przepaści jaka dzieli oczekiwania od rzeczywistości.

Nowe możliwości wykorzystywane są do przeciwstawiania się istniejącemu status quo, podczas gdy istotą działań reformatorskich reżymu jest próba ocalenia status quo w całości, albo przynajmniej w jego obecnej formie, oraz zmniejszenie rosnącego zacofania technologicznego i gospodarczego. Na Zachodzie podejmowane są starania o nowe kredyty /przybrane w epitet "socjalistyczne"/, co u wielu działaczy partyjnych budzi lęk przed erozją monopolu partyjnego, z wszelkimi możliwymi tego konsekwencjami.

Fundament "pierestrojki" - gospodarka - nie może dotychczas pochwalić się sukcesami. Nawiązując do ustawy o przedsiębiorstwie, która ma wejść w życie w styczniu br., ekspert prawny Borys Kuraszwili stwierdził: "Pierestrojka przegrała pierwszą z decydujących bitew". Liczba spółdzielni, zorganizowanych według zasad gospodarki prywatnej /w których zatrudnionych jest obecnie ok. 700 tysięcy osób/, wprawdzie rośnie, napotykają one jednak na rozmaite trudności. Chodzi tu zarówno o agresywną zazdrość ze strony niezbyt skłonnych do wykazania inicjatywy obywateli sowieckich, jak i niedostateczne zaopatrzenie w surowce. Problem opodatkowania nie został jeszcze rozstrzygnięty po zawieszeniu, w odpowiedzi na liczne protesty, decyzji ustalającej maksymalną stopę opodatkowania na 90%. Poza tym "spółdzielcy" zmuszani są do uiszczania tzw. opłat za ochronę /sięgających 30% zysku/ na rzecz mafii przestępczej, którą od pewnego czasu zaczęto nazywać po imieniu w środkach masowego przekazu i która wykracza swoimi wpływami poza granice znanego już od dawna z tego typu zjawisk Uzbekistanu.

Mimo rozwoju ruchu spółdzielczego nie udało się do tej pory ograniczyć rozmiarów tzw. "gospodarki strefy cienia"; według danych ekonomistki sowieckiej Tatiany Koriaginy w gazecie "Trud" z 12 sierpnia 1988 r., roczny obrót "gospodarki strefy cienia" osiąga wysokość 70-90 mln rubli; w tym samym okresie czasu obywatele sowieccy zapłacili 22-24 mld rubli za usługi nieoficjalnego sektora gospodarki.

Pogarszająca się sytuacja zaopatrzeniowa oraz towarzysząca jej rosnąca inflacja, dochodząca gdzieś tam nawet do 300% /i to przed planowaną reformą cen/ stanowi dla Gorbaczowa realne niebezpieczeństwo, jego sukcesy bowiem ograniczają się wyłącznie do polityki zagranicznej. Według ekonomisty Aleksandra Zajczenki wysokość wydatków na dobra konsumpcyjne i usługi na głowę, stawia ZSSR na 50-tym i 60-tym miejscu w świecie. Gazeta "Socjalistyczna kaja Industrija" /1.6.88/ podała, iż ponad połowa mieszkańców ZSSR żyje poniżej granicy nędzy, natomiast dziennik związków zawodowych "Trud" ogłosił /26.6.88/, że zarobki 35% spośród nich wynoszą mniej niż 100 rubli miesięcznie. Chroniczny niedobór gospodarki przybrał w ZSSR od zakończenia wojny takie rozmiary, że w wielu miejscowościach na prowincji nie można kupić nawet soli. Specjaliści przewidują, że prawdziwy kryzys gospodarczy nadejdzie w połowie lat 90-tych, kiedy to braki wyczerpanych surowców oraz katastrofa ekologiczna osiągną apogeum /i to w kraju, który nie dysponuje nawet odpowiednią infrastrukturą/.

Aktywność, jaką pod rządami Gorbaczowa wykazują pewne kręgi społeczeństwa, wydaje się być dla reżymu równie niebezpieczna, jak obojętność wobec haseł "pierestrojki", nadal paraliżująca szerokie rzesze społeczne. Aktywność ta ogarnęła przede wszystkim narody zamieszkujące peryferie Związku Sowieckiego. Problem narodowościowy, obecnie szczególnie palący w republikach nadbał-

tyckich i zakaukaskich, niesie ze sobą - być może - największe niebezpieczeństwo spośród wielu innych, trudnych do rozwiązania, zadań, stojących obecnie przed Gorbaczowem w całej swej straszliwej ostrości. Gorbaczow nie jest odpowiedzialny osobiście za taką sytuację, to nie on stworzył dla niej przesłanki. Zostały one stworzone przez system, który przez całe dziesiątki lat kształtował uosabiającego go dziś Gorbaczowa i którego struktur nie może on dowolnie zmieniać, nie narażając się jednocześnie na trudne do przewidzenia konsekwencje /zakładając, że w ogóle chce zmian/. Ciągłe jeszcze nie jest zbyt jasne, czego naprawdę chce Gorbaczow, a jakie ograniczenia nakłada na niego sam system. Z całą pewnością chce on wzmocnienia a nie osłabienia Związku Sowieckiego. Pewne jest również, że chce stworzyć z partii sprawny i dostosowany do wymogów współczesności instrument sprawowania władzy. Zostało to potwierdzone podczas XIX Konferencji Partyjnej oraz w formie uchwały Rady Najwyższej z 1 grudnia 1988 r. o reformie konstytucji. Według niej również w przyszłości ma być zagwarantowana przewodnia rola partii, z jednej strony poprzez modyfikację systemu wyborczego, z drugiej zaś poprzez połączenie pewnych stanowisk w aparacie partyjnym i administracji państwowej. Również fakt, iż odwołanie sekretarza generalnego partii, sprawującego jednocześnie funkcję prezydenta państwa, wyposażonego we władzę wykonawczą, wymaga będzie w przyszłości zgody nowo tworzonego obecnie Kongresu Deputowanych Ludowych, wydaje się stanowić o wzmocnieniu urzędu szefa partii.

Chociaż nowa ustawa zasadnicza przekazuje Gorbaczowowi więcej legalnej władzy, niż według ówczesnych konstytucji - posiadali Stalin czy car po 1905 roku, to sam gensek postępuje z aparatem według zasady "divide et impera" tzn. rozdzielając urzędy. I tak np. stanowisko tzw. zastępcy, do którego aspirował Jegor Ligaczow, zostało rozdzielone pomiędzy czterech sekretarzy KC. Podczas jesiennego przewrotu na szczytach władzy Gorbaczow zneutralizował lub wymienił wielu członków KC i Biura Politycznego. Ligaczow został, jak wiadomo, zdegradowany do roli "zwykłego" sekretarza, odpowiedzialnego za sprawy rolnictwa. Resort ten uchodził powszechnie za swego rodzaju "katapultę"; jakkolwiek sam Gorbaczow zanim awansował na stanowisko sekretarza generalnego, zdołał się utrzymać na tym stanowisku przez sześć sezonów nieurodzaju.

Opublikowany projekt reformy konstytucji wywołał znaczne niezadowolenie, które przybrało najgwałtowniejsze formy w republikach nadbałtyckich i zakaukaskich oraz wśród części inteligencji rosyjskiej, najzagorzalszych zwolenników "pierestrojki". Krytykowany jest nie tylko sam fakt rozszerzenia władzy przywódcy KPZS /Sacharow określił pełnię władzy w warunkach systemu jednopartyjnego jako "czyste szaleństwo"/, ale również fakt wzmocnienia centralizmu, który wywołuje opór mniejszości narodowych w Nadbałtyce i na Zakaukaziu.

Definiująca się jako "opozycja konstruktywna" nowo założona grupa "Trybuna Moskiewska", skupiająca renomowanych zwolenników reform /głównie z kręgów naukowych/, wypowiedziała się ostro przeciw projektowi konstytucji, do którego w tym czasie wprowadzono 88 niezbyt istotnych poprawek. Grupa moskiewska kwestionuje bowiem m.in. takie regulacje, które - w kraju, w którym większość mieszkańców nie należy do partii komunistycznej - pozbawiają bez-

partyjnych praktycznie realnego wpływu na proces podejmowania decyzji politycznych. W ten sposób traktowane są liczne nie pozbawione znaczenia ugrupowania "nieformalne" czy też ruchy społeczne, jak np. "Fronty Ludowe" w republikach nadbałtyckich, uniemożliwiając im wysuwanie kandydatów do Kongresu Deputowanych Ludowych.

Choć pozbawiona już "wiarygodności", ideologia ciągle jeszcze okazuje się być czynnikiem centralnym /a przez to blokującym reformy/, nie tylko w sensie legitymizacji zarządców monopolistycznym systemem jednopartyjnym, ale również jako instrument polityki zagranicznej. Wzbierający szowinizm rosyjski stanowiący jednocześnie surogat zwietrzałej ideologii, którego elementy można odnaleźć w hasłach głoszonych przez ugrupowania antysemickie czy też holdujące programowej ksenofobii /jak np. "Pamjat"/ napawa strachem nie tylko liberalną inteligencję rosyjską. Ugrupowania tego typu /należałoby do nich zaliczyć również zorientowanych antyzachodnio "ljuberców", niektóre grupy "afganców", byłych uczestników wojny w Afganistanie/ są z jednej strony traktowane jako ruchy spontaniczne, z drugiej zaś istnieją podejrzenia, że są one sterowane z zewnątrz; jeden ze znanych moskiewskich naukowców określił je jako "armię KGB".

Fakt, że w przeciwieństwie do czasów chruszczowowskich zakres władzy KGB nie uległ ograniczeniu, wywołuje nie mniejszy niepokój niż stworzenie technicznych i prawnych podstaw dla wprowadzenia - w razie potrzeby - stanu wyjątkowego, utworzenie i użycie jednostek specjalnych MSW, niezależnie od wcześniej już istniejących jednostek podległych temu resortowi, czy ustawy zakaz demonstracji i zebrań bez specjalnego zezwolenia. W przypadku naruszenia wyżej wymienionego przepisu orzekane są kary aresztu i grzywny sięgające 1000 rubli; dla wielu osób jest to ich roczny dochód.

Całkowity powrót do status quo ante wydaje się jednakże coraz bardziej nieprawdopodobny. Nie można wykluczyć jednak możliwości wielu gwałtownych zwrotów, czy dramatycznej eskalacji represji ze strony organów bezpieczeństwa. Na dłuższą metę nie jest to jednak metoda na wyjście z kryzysu. Niezbędna stała się reforma całego systemu, a nie tylko jego fragmentów, stworzenie odpowiednich gwarancji prawnych oraz likwidacja nie naruszonych do tej pory struktur władzy, nie dostosowanych do wymogów stawianych przez nowoczesne społeczeństwo, zwłaszcza zaś europejskie. Zachód nie może być zainteresowany fiaskiem reform w Związku Sowieckim. Jednak nie Zachód zadecyduje o przyszłości reform Gorbaczowa - zadecydować się ona może wyłącznie w samym Związku Sowieckim.

Przebudzone ponownie nadzieje wielu obywateli sowieckich miesza się z obawą i rezygnacją. Rezygnacją, wynikającą z przekonania opartego na całych latach doświadczenia - o niereformowalności systemu; wobec obawy, że próby reform przychodzą zbyt późno, aby wyciągnąć kraj z olbrzymiej, nie wywołanej przez czynniki zewnętrzne, nędzy. Istnieją komentatorzy twierdzący, iż Gorbaczow jest zbyt słaby, lub niechętny rzeczywistej reformie. Inni znów mówią o tym, że jak dotychczas nie popełnił on żadnego poważniejszego błędu. Ale również oni są świadomi strasznych skutków w przypadku niepowodzenia. Przy całej sympatii dla Gorbaczowa obywatele sowieccy są dalecy od euforii, choćby dlatego, iż panuje przekonanie, że kiedy przyjdzie wybierać między interesem narodu a sprawą zachowania władzy, gensek będzie prawdopodobnie

optował za tym ostatnim. W przeciwieństwie do Zachodu, nikt w Związku Sowieckim nie myli mówienia o demokracji z prawdziwą reformą.

Społeczeństwo sowieckie, jest dziś, bardziej niż kiedykolwiek, zaabsorbowane walką o codzienną egzystencję; jednocześnie inteligencja - w przypadku politycznego zwrotu - miałaby dziś więcej do stracenia niż kiedykolwiek w historii ostatnich dziesięcioleci. W podobnym tempie, w jakim na początku zaczynały sobie torować drogę ostrożne nadzieje, rośnie dziś poczucie zawodu z faktu braku gwarancji nieodwracalności "pierestrojki"; rośnie strach przed nie dającym się zdefiniować w kategoriach racjonalnych starciem, które pozbawiłoby zmurzały już system jego znaczenia. Wchodząc w piąty rok rządów Gorbaczowa czołowi intelektualiści moskiewscy opracowali prognozę, z której wynika, iż "kraj czeka trudne i tragiczne lata". Na dłuższą metę jednak nie ma powodów aby tracić wszelką nadzieję, los eksperymentu nie został jeszcze przesądzony. Olbrzymie rezerwy ludzkie i moralne, nawet talenty, nie zdołały się wyczerpać w ciągu siedemdziesięciu lat rządów przemocy. Wartości ponadczasowe okazały się niezniszczalne.

Bonn, 9.XII.1988 r.

Tłumaczenie: Beniamin Lemski

W przemówieniu noworocznym premier rządu RP, prof. Edward Szczepanik powiedział m.in.:

"Sowiety pogrążone we własnych kłopotach ekonomicznych, ekologicznych i narodowościowych są niechętne do bezpośredniej interwencji w wewnętrzne sprawy Polski. Jednakże niebezpieczeństwo to istnieje ciągle, zwłaszcza wobec braku oznak /.../ odrzucenia przez Moskwę leninowskiej doktryny o nieuchronnym zwycięstwie komunizmu nad kapitalizmem na całym świecie. Musimy o tym stale przypominać, zwłaszcza w obliczu nowej, łudzącej polityki Gorbaczowa. Jego pozorne obecne ustępstwa nie są dowodem rezygnacji lecz przygotowywania się do osiągnięcia długokresowych celów komunizmu. Tym niemniej, tę fazę sowieckich ustępstw winniśmy wykorzystać dla naszych celów państwowych.

Czy jednak nie grozi powtórzenie ciosu, jaki Jaruzelski zadał Narodowi 13 grudnia 1981 roku? Nie można tego wykluczyć i należy się przygotować na taką ewentualność o wiele lepiej niż wówczas, siedem lat temu. Jednakże ostrze wysiłku polskiego i międzynarodowego powinno być skierowane na wyeliminowanie tej alternatywy. Oznacza to konieczność żądania ustąpienia Jaruzelskiego i jego partyjnej "ekipy" i zastąpienia jej przez władze wyłonione w drodze wolnych, parlamentarnych wyborów. Postulaty te trzeba przedstawiać na terenie międzynarodowym i szukać dla nich poparcia. Polska emigracja niepodległościowa, tak jak dotychczas, powinna w tej sprawie odegrać bardzo poważną rolę".

Tel - Aviv i Teheran

/O dyplomacji polskiej na Bliskich Wschodzie - rozmowa z profesorem Jerzym Lenczowskim/

Odpowiadając na pytania Marka J. Chodakiewicza, prof. Jerzy Lenczowski mówi o sobie:

- Mieszkalem w Warszawie - kolonia Lubeckiego, na ulicy Reya - po drodze na lotnisko. W Warszawie też ukończyłem Uniwersytet. Studiowałem na wydziale prawa od 1932 do 1936 roku. Studia prawnicze w owym czasie obejmowały nie tylko naukę prawa właściwego, ale również ekonomię i historię teorii politycznej. /.../

Byłem członkiem powstałej w latach 30-tych organizacji pod nazwą Polski Akademicki Związek Zbliżenia Międzynarodowego - LIGA. Zarząd LIGI znajdował się w Warszawie, a filie w miastach uniwersyteckich. Organizacja ta cieszyła się poparciem Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Najpierw sprawowałem w LIDZE funkcję przewodniczącego sekcji jugosłowiańskiej, następnie zostałem vice-prezesa oddziału warszawskiego, a na koniec byłem sekretarzem generalnym Zarządu Głównego. Gdy po uzyskaniu magisterium wyjechałem na studia doktoranckie do Francji, tam kontynuowałem swoją działalność jako delegat LIGI w tym kraju. /.../

Studiowałem Prawo Międzynarodowe w Uniwersytecie Paryskim i Uniwersytecie w Lille. /.../ W grudniu 1937 r. Uniwersytet w Lille nadał mi tytuł Doktora Praw. Moją pracę pisałem na temat kontraktów w prywatnym prawie międzynarodowym. /.../

MJCH: - A po studiach Panie Profesorze?

JL: - Po studiach wstąpiłem do służby dyplomatycznej, to jest do służby zagranicznej Rzeczypospolitej. Stało się to 1 lutego 1938 r. Chciałbym nadmienić, że już w lecie 1935 r., odbyłem praktykę studencką Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Konsulacie Polskim w Essen-Ruhr w Niemczech. Byłem p.o. oficera prasowego.

MJCH: - Jakże Pan Profesor miał obowiązki, a w ogóle czym zajmowali się pracownicy placówki konsularnej?

JL: - Moim obowiązkiem m.in. było przygotowywanie raportów z pracy niemieckiej. Natomiast ogólnie obowiązkiem polskiego konsulatu było reprezentowanie Państwa Polskiego oraz obrona praw obywateli polskich na obszarze pod jurysdykcją konsulatu. Wielu Polaków - chrześcijan pracowało w KRUPP-WERKE. W razie kłopotów trzeba się było nimi zająć. Konsulat zajmował się również obroną Żydów - obywateli polskich - atakowanych w tym okresie przez nazistowskie Sturm Abteilungen - SA. Konsulat stawał przed niemieckimi władzami i domagał się sprawiedliwości, czy odszkodowań dla pokrzywdzonych.

MJCH: Tak było na praktykach studenckich, a gdzie Pan Profesor pojechał jako pracownik pełnoetatowy?

JL: Chciano mnie wysłać do Francji, ale odmówiłem, Bardzo interesował mnie Bliski Wschód, dlatego udało mi się być posłanym do

Palestyny. Był rok 1938, gdy zacząłem pracę w Konsulacie RP w Tel Aviv. Tam też zapoznałem się z fenomenem syjonizmu. Rząd polski sprzyjał w owym czasie syjonistom, nawet, a może przede wszystkim, tym ekstremistycznym, wojowniczym Syjonistom-Rewizjonistom. Pamiętam jeszcze z Warszawy jak ich przywódca Vladimir Żabotyński przemawiał przez Radio Polskie - udostępnione przez nasze władze. Brzmiał on jak natchniony prorok gdy wygłaszał przemówienie po hebrajsku.

MJCH: Wydaje mi się, że rząd polski nie tylko wspomagał Nową Organizację Syjonistyczną /Syjonistów-Rewizjonistów/ w sposób propagandowy. Były również przykłady współpracy militarnej. Młodzi bojownicy z Brith Trumpledor - BETAR - byli ćwiczeni pod Warszawą, przez polskich instruktorów wojskowych w oddziałach przysposobienia wojskowego już na początku lat 30-tych. Działalność tę zawieszono, aby nie narażać się Brytyjczykom. Wiktor Tomir Drymer, Dyrektor Departamentu Konsularnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP pisał, że bojowcy grup IRGUN i HAGANA byli szkoleni w andrychowskim i rebertowskim obozach wojskowych. Minister Józef Beck autoryzował - jak twierdzi Trymmer - pożyczkę w sprzęcie wojskowym i w gotówce w wysokości 200 tys. zł. w maju 1939 r. Odbiór pożyczki potwierdził Vladimir Zew-Żabotyński. Dziennikarz izraelski Leni Brenner napisał, że przywódca BETAR Menachem Bégin i jego współpracownicy byli szkoleni w Zakopanem przez Wojsko Polskie. Brenner wspominał również, że istniał polski plan dotyczący przerzutu broni i amunicji przez Turcję dla potrzeb syjonistów w Palestynie. Czy w działalności takiej brał udział polski konsul w Tel-Aviv?

JL: Na temat tego co pan mówił o pomocy wojskowej nic nie wiem. Natomiast naturalnie konsul w nic takiego się nie angażował, gdyż byłoby to naruszeniem naszego statusu prawnego wobec władz angielskich. Obowiązkiem konsulatu w Tel-Aviv, jak również dwóch pozostałych polskich placówek konsularnych w Palestynie, było reprezentowanie i obrona interesów obywateli polskich znajdujących się w Palestynie. Pracowałem z obywatelami polskimi narodowości żydowskiej. Wielu z nich chciało wracać do Polski, gdzie było im lepiej - a był to rok 1938. Nie podobał im się klimat Palestyny, deklasacja, bezrobocie. Inteligencja musiała pracować fizycznie jako rzemieślnicy, szoferzy, kwiaciarki. Mój znajomy, inżynier, Litwin, był kierowcą taksówki miejskiej. On zresztą do Polski wracać nie chciał, ale jak Armia Andersa przybyła do Palestyny, już w czasie wojny, to wstąpił do niej jako strzelec na ochotnika. Oprócz zajmowania się chętnymi do powrotu, pomagałem wielu w sprawach urzędowych, np. w przygotowaniu dokumentów do przeprowadzenia rozvodu, który był na wakandzie sądowej gdzieś w nowosądeckiem, a strony zainteresowane były już w Palestynie. Zdarzało się też, że kupcy, handlowcy żydowscy mieli kłopoty z Brytyjczykami. Wtedy też interweniowałem.

MJCH: To właśnie. Jak to było z tymi Anglikami, Panie Profesorze - byli oni niechętni Żydom, nieprawda?

JL: Nie. Niech pan tak nie pisze. Wprost przeciwnie, to Anglicy ogłosili przecież Deklarację Balfour'a w 1917 r. o "Jewish National Home" - o ojczyźnie żydowskiej. To Anglia zobowiązała się ułatwić imigrację żydowską do Palestyny. Anglicy znajdowali się w niezwykle delikatnej sytuacji. Co prawda mieli oni mandat Ligi Narodów w Palestynie, ale na skutek protestów arabskich musieli

obciąć "kwotę" emigracyjną żydowską, tj. liczbę, której pozwalało corocznie na osiedlenie się w Palestynie. Arabowie ostro protestowali przeciwko napływowi Żydów. Jak ja przyjechałem do Palestyny, to rewolta arabska już wybucha. Można było łatwo zginąć, bo w arabskich częściach Palestyny Arabowie strzelali zza kaktusa do każdego, kto wyglądał na Żyda albo Anglika. Zanim bym pokazał legitymację, to by zaszlachtowali. Czasami jeździłem do Jerozolimy - według mnie najpiękniejszego miasta Bliskiego Wschodu - w konwoju z eskortą samochodów pancernych. Od czasu do czasu przyczepialiśmy polską flagę do auta - nie strzelano do nas wtedy.

MJCH: Czyli Anglikom było trudno zrobić więcej dla Żydów, a Polacy robili co mogli?

JL: Tak. Rząd polski zachęcał emigrację żydowską i popierał handel z Palestyną. Chodziło o rynki zbytu.

MJCH: Czy przeniesiono Pana Profesora z Tel-Awivu gdzie indziej?

JL: Tak. Zostałem wezwany do Centrali, tj. do MSZ w Warszawie. Przybyłem do kraju pod koniec sierpnia 1939. Dało mi to okazję odwiedzić moich rodziców w radomskim. Spędziłem tam dwa dni wśród lasów jodłowych - rzeczy, której najbardziej mi w Palestynie brakowało. Potem pojechałem do Warszawy. W pracy stawiałem się punktualnie rano 1 września 1939 r. Od razu nas też zbombardowano, tak więc sporo czasu spędziliśmy w schronie. Potem Ministerstwo ewakuowano do Krzemieńca. W nocy z 15-go na 16-go przyszła wiadomość, że lada chwila mogą wkroczyć Sowieci. MSZ przeniosło się do Zaleszczyk. 17-go września na wieść o inwazji sowieckiej przekroczyliśmy granicę polsko-rumuńską.

MJCH: Na tym skończyła się służba dyplomatyczna Pana Profesora?

JL: Na razie tak. Z Rumunii dotarłem na Bliski Wschód w 1940 r. i wstąpiłem do Brygady Strzelców Karpackich pod gen. Kopańskim. /.../ Wkrótce pojechaliśmy do Tobruku. Brałem udział w jego obronie i w kampanii cyrenajskiej. /.../ Nasza Brygada została włączona do Armii Andersa jako Dywizja Karpacka. /.../ Ale do Włoch z Armią już nie trafiłem.

MJCH: Znow Pan Profesor został dyplomata?

JL: MSZ z Londynu wyreklamowało mnie z wojska. Zostałem mianowany attaché prasowym w Poselstwie Rzeczypospolitej w Teheranie pod koniec 1942. Resztę wojny spędziłem w służbie dyplomatycznej.

MJCH: Czyli Pan Profesor był naocznym świadkiem konferencji Wielkiej Trójki w Teheranie...

JL: Niezupełnie. Nie było po prostu dostępu do czołowych mężów stanu mocarstw alianckich. Chodziły tylko plotki dyplomatyczne. Ale było przeczucie, że coś złego się dzieje ze sprawą polską. Po konferencji ambasador brytyjski powiedział posłowi polskiemu: "Wie pan, bardzo wam zaszkodził Związek Patriotów Polskich z Wandą Wasilewską".

MJCH: Jak wyglądała pańska praca w Teheranie?

JL: W Teheranie przede wszystkim broniliśmy interesów polskich. Propaganda Stalina nie tylko umniejszała, ale po prostu niwelowała zasługi polskie w walce z Niemcami. Wyglądało na to, że tylko Sowieci walczą z Hitlerem. Sowieciarze, jak ich ochrzciliśmy w poselstwie, znajdowali się na bardzo silnej pozycji w Iranie. Ich wojska zajęły północną część tego kraju i mieli nawet oni swój garnizon w Teheranie. Przez Teheran wiodła jedyna droga do Kujbyszewa - siedziby rządu sowieckiego. W związku z tym przez stolicę

Iranu przewijało się mnóstwo polityków i dyptomatów. Np. w lipcu 1944 przejeżdżał przez Teheran Stanisław Mikołajczyk. Potem na Kremlu prosił Stalina o pomoc dla Powstania Warszawskiego... A'propos Powstania - na jego skutek zginęli moi rodzice wywiezieni przez Niemców do obozów koncentracyjnych. Wracając do Teheranu, jak już mówiłem był on punktem przelotowym dla wielu wpływowych osobistości, jak i dla korespondentów zagranicznych. Jako szef informacji w Poselstwie Rzeczypospolitej utrzymywałem kontakt właśnie z nimi, jak również z dziennikarzami irańskimi. Dostarczałem im między innymi materiały na temat zasług Polaków na frontach II Wojny Światowej.

MJCH: Działalność pańska kontrowała więc sowiecką robotę dezinformacyjną. Wkrótce przyszła Jałta...

JL: Miałem zię przeczucia dlatego, że zachodnie "appeasement" - ugiaskiwanie - Rosji, było widoczne na każdym kroku. Gdy ogłoszono komunikat końcowy Jałty, wiedziałem, że Polska została sprzedana. Zdawałem sobie sprawę z tego, że do kraju już nie będę wracał. Wkrótce potem Amerykanie urządzili przyjęcie u siebie w ambasadzie. Zastępca ambasadora amerykańskiego powiedział mi wtedy, żebym przyjechał do Stanów uczyć, bo do Polski przecież nie wrócę. Ale dopiero pół roku później, po odebraniu nam statusu dyplomatyicznego - Irańczycy uznawali nas dłużej niż Anglicy - wyemigrowałem do Ameryki i zacząłem wykładać. Najpierw w School of Advanced International Studies w Washington D.C., potem w Hamilton College w New York, a od 1952 do 1986 wykładałem na University of California w Berkeley.

Wywiad profesora Lenczowskiego ma się równocześnie ukazać w "Niepodległości", w wersji pełnej, bez naszych skrótów redakcyjnych.

Z życia emigracji

"Rząd RP /.../ przestrzega przed bezpośrednimi kontaktami z organami i przedstawicielstwem reżymu, ponieważ są one zaprzeczeniem zasady nieuznawania przez emigrację niepodległościową narzuconej Krajowi totalitarnej władzy komunistycznej. Dają one również reżymowi pożywkę propagandową w jego kampanii przeciwko naszej postawie ideowej.

Zachowanie ściszej łączności z Krajem jest nieodzowne. /.../ Rząd RP /.../ nie podziela zdania, jakoby jedynym i wyłącznym sposobem zachowania łączności były wyjazdy do Kraju. Dekret Prezydenta Rzeczypospolitej o ordynacji wyborczej do Rady Narodowej Rzeczypospolitej wymaga od każdego kandydata na jej członka przyrzeczenia, że w przypadku wyboru będzie działał zgodnie z istotą i pojęciem "emigranta politycznego". Prawo międzynarodowe zaś określa emigranta politycznego jako osobę, która ze względu na swe przekonania polityczne wyzbywa się między innymi uprawnienia do tymczasowego nawet przebywania w kraju swego pochodzenia. Wynika więc z tego, że członkowie Rady Narodowej RP nie mogą w czasie pełnienia swej funkcji odbywać podróży do Kraju".

Zazdrość Palestyńczykom?

Od piętnastego listopada ubiegłego roku słyszymy o nowym państwie, które, jak dotąd, uznało bez mała sto innych państw świata. Tego dnia Palestyńska Rada Narodowa, "parlament" znanej powszechnie instytucji, zwanej Organizacją Wyzwolenia Palestyny, proklamowała powstanie niepodległego państwa narodowego ze stolicą w Jerozolimie. Ogłoszono to w Algierze, innej stolicy, oddalonej od "świętego miasta" o trzy tysiące kilometrów.

Podobny, bezprecedensowy już tym razem wypadek miał miejsce przed paru laty, kiedy to buforowe państewko zapomnianego już libiańskiego majora Haddada uroczyście powołano do życia w miasteczku Metulla na obszarze Izraela. "Niepodległa Palestyna" istnieje jednak tylko na kartach deklaracji algierskiej i nie zanosi się na to, by w przewidywalnym czasie mogła objąć choćby metr kwadratowy pozostającej pod okupacją izraelską ziemi. Jej powołanie nie jest jednak aktem frustracji Palestyńczyków, zniecierpliwionych być może nieskutecznością czterdziestu lat przypominania świata - na różne, na ogół mało sympatyczne sposoby - o swym istnieniu. W powszechnych ocenach posunięcie to jest ważnym elementem ofensywy dyplomatycznej Arafata, która nawet Izrael wszusza do określenia wyraźnych kontropropozycji w "kwestii palestyńskiej". Sam Arafat zapowiada, iż niepodległe nie tylko na papierze państwo jest kwestią niedługiego okresu czasu. Polityczni komentatorzy na całym świecie głoszą, że nadeszła pora rozwiązywania problemu, który od kilkadziesiątu już lat ewokuje kolejne konflikty o ponadregionalnym na ogół znaczeniu.

Niejedyn Polak, a zapewne wielu w ogóle mieszkańców krajów "obozu socjalistycznego" nie raz miało okazję do porównania: geopolityka nie zna pojęcia "kwestii estońskiej" czy "węgierskiej", natomiast od lat słyszy się o "okupantach izraelskich", ONZ wydaje kolejne rezolucje, mówiące o konieczności zwrotu zajętych w 1967 terenów, a w ramach wymienionej międzynarodowej organizacji działa "Komisja do Spraw Niezbywalnych Praw Narodu Palestyńskiego". Wnioski nasuwały się same, tym bardziej, że nikt wcześniej nie słyszał o takim narodzie.

Ta sprawa warta jest rozważenia: nawet w dokumentach OWP koegzystują ze sobą pojęcia "narodu palestyńskiego" i "arabskiego", co świat przyjmuje do wiadomości bez zastrzeżeń. Gdy setki tysięcy muzułmanów i chrześcijan pod naporem nowopowstającego Izraela, opuszczają w 1948 r. Galileę oraz wybrzeże Morza Śródziemnego, byli to po prostu palestyńscy Arabowie. Problem palestyński jawił się wówczas właściwie wyłącznie jako problem uchodźców. Sytuacja skomplikowała się po 1967 r., gdy aneksja Zachodniego Brzegu i strefy Gazy naruszyła status quo, uznawane przez międzynarodową społeczność - z wyjątkiem państw arabskich. Kolejne rezolucje ONZ, negując słuszność okupacji, czy mówiąc o problemie wygnańców nie wspominały o prawie Palestyńczyków do samostanowienia. Nic dziwnego, skoro nie zajęta przez Izrael w 1948 r. resztówkę byłego mandatu brytyjskiego rozparcelowano

między Jordanią i Egipt. Jeśli dodać, że tereny palestyńskie uważa się w Damaszku za część "Wielkiej Syrii", zrozumieć można specyfikę zagadnienia "arabskiej Palestyny", egzystującej w obrębie różnorodnych stref wpływów.

Kierowana od dwudziestu lat przez Arafata OWP zdecydowanie wypowiada się w imieniu "narodu". Można w tym dostrzec grę polityczną, dążącą do wzmocnienia w oczach świata palestyńskich racji. Uciskany naród to coś więcej niż bezdomni uchodźcy i chcą zrobić polityczną karierę w owym "zdekolizowanym" świecie, należy o tym pamiętać. Proklamacja "niepodległości Palestyny" mieści się więc w ramach konsekwentnej strategii OWP.

Z drugiej strony pamiętać należy, że czterdzieści lat bytowania w anormalnych, obozowych warunkach, siłą rzeczy stworzyło specyficzną, odrębną od otoczenia wspólnotę. Palestyńczycy na wygnaniu nie wtopili się w arabskie społeczności krajów, w których przebywają. W Libanie, odrzuceni przez wszystkich, uwikłali się w chroniczny konflikt z muzułmanami-szytami, przeważającymi na południu kraju /palestyńscy muzułmanie należą do sunnickiej gałęzi islamu/. W Jordanii, gdzie są najliczniejsi /około 60% populacji Wschodniego Brzegu!/, pamięć "czarnego września", jaki w 1970 r. urządzili przybyzom zza rzeki ich gospodarze, ciągle jeszcze uniemożliwia procesy integracyjne.

Jeżeli poddajemy już w wątpliwość fakt istnienia narodu palestyńskiego dodajmy, że nie jest on pewnikiem dla samych Palestyńczyków, a przynajmniej dla sporej ich części. Dokumenty OWP operują pojęciem "narodu" w sensie zachodnioeuropejskim: jest to zbiorowość ponadwyznaniowa, określana przez wspólną świadomość i wspólny język. W tym sensie Palestyńczykiem w równym stopniu jest muzułmanin, jak Arab prawosławny, katolik czy protestant /bo są i tacy/. Algierska "Deklaracja Niepodległości", mówiąc o palestyńskiej tożsamości, wspomina nie tylko o meczetach, ale i o "dzwonach kościołów i świątyni". Takie rozumienie podstawowej, bądź co bądź, wspólnoty ludzkiej, jaką jest naród, obce jest mentalności Orientu, akcentującej przede wszystkim więź wyznaniową. Do niej zaś odwołują się szczególnie radykalni islamscy fundamentaliści, najliczniejsi w rejonie Gazy, gdzie też najsłabsze są wpływy OWP, uzurpującej sobie przecież wyłączność reprezentacji wszystkich Palestyńczyków. Celem tych - najczęściej młodych - fanatyków jest "republika islamska" i można być pewnym, że nie uznają oni za swoich ludzi, którzy podążają do świątyni na dźwięk dzwonu, nie zaś na głos muezzina.

Jest jednak faktem, iż pół świata uznało już kadłubowe, rozdzielone na dwie części przez terytorium Izraela palestyńskie państewko "in spe", które odzyskać miałyby wschodnią, arabską połowę Jeruzolimy. Sprawa międzynarodowej konferencji, mającej zapewnić pokój dla Bliskiego Wschodu znowu stała się tematem rozważań. Jednak pomimo wszystkich sukcesów Arafata, włącznie z podjęciem dialogu z OWP przez Stany Zjednoczone, mimo zapowiedzi powołania z wiosną palestyńskiego rządu, układ sił nie zmienił się zasadniczo. Trwające od ponad roku zamieszki, szumnie nazywane "powstaniem", nie doprowadziły do politycznego przesilenia nad Jordanem. Kompromis Arafata, który uznał de facto istnienie Izraela w granicach z 1948 r. /czym pomnożył sobie szeregi nieprzyjaciół wśród ziomków/ oraz wyrzekł się terroryzmu, nie zatarł nieufności USA i Zachodniej Europy do OWP, która przez całe lata

z jednakową konsekwencją przyczyniała się do politycznej destabilizacji na Bliskim Wschodzie, jak sabotowała wszelkie wysiłki pokojowe.

Co więcej, minęły już czasy, gdy cieszyła się ona niekwestionowanym poparciem Kremla. W latach osiemdziesiątych centrum światowego terroryzmu grawitować zaczęło ku Teheranowi, jak Golem wymykając się z opiekuńczych rąk sowieckich. Eurazjatycki kolos, krępowany własnymi wewnętrznymi problemami, wycofuje się jakby z różnych awantur w Trzecim Świecie; mówiąc dosadniej - piwo, które sam nawarzył, pozostawia do wypicia swoim lokalnym pomocnikom. Wieloletni sowiecki sojusznik, Arafat, zrozumiał, że nie przyczyni się do powstania niepodległej Palestyny podkładając bomby pod autobusy i chcąc nie chcąc musi szukać rozwiązania na drodze porozumienia z wrogiem sobie Izraelem, porozumienia będącego zasadniczą częścią międzynarodowego, pokojowego uregulowania bliskowschodnich problemów. Ewolucja palestyńskiego przywódcy nie oznacza jednak odmiany całej OWP, w dużej mierze składającej się z mafii zarabiających na handlu bronią i narkotykami na całym świecie. Ćwierć wieku hodowania zinstytucjonalizowanego terroryzmu zrobiło wiele "nieprzejednanych", odrzucających z OWP ludzi, którym wcale nie zależy na zmianie istniejącego stanu rzeczy: zdecydowanie bowiem przedkładają osobiste korzyści nad miraż niepodległości. Bardzo możliwe, iż tu należy szukać przyczyn postawy wielu "nieprzejednanych", odrzucających z góry wszelką możliwość współistnienia z państwem izraelskim. Swoją drogą ciekawe, że kije i kamienie, którymi tak chlubi się pozujący obecnie na Gandhiego Arafat, są wyjątkową bronią nawet w rękach młodych ekstremistów z Gazy. Czy ich operatywni starsi kuzyni zza granicy nie mogą, czy też nie chcą przepuszczać broni przez izraelskie kordony? Jeżeli nie chcą, to wątpię, że z pacyfistycznych pobudek... Przewodzący zamieszkom narzekają zresztą, że centrala OWP przekazuje im bardzo skromne środki finansowe!

Rezerwa Kremla i jego satelitów związana jest także z postawą wobec Izraela, z którym świat komunistyczny dyskretnie przywraca stosunki polityczne.

"Intifada", która wybuchła spontanicznie, wyłoniła niebawem miejscowe kierownictwo, w zasadzie lojalne wobec OWP, mające jednak własne poglądy na strategię i taktykę walki. Nie dziwi to, zważywszy na istotną odmienną sytuację Palestyńczyków w kraju i na wygnaniu. Na to liczył Szamir, wysuwając w odpowiedzi na algierską proklamację kontrpropozycję wyborów do władz lokalnych na terenach okupowanych - oczywiście z wykluczeniem wpływów OWP, wobec której obowiązuje w państwie izraelskim nieodmiennie ostry kurs. Temu z kolei, nie baz wahań, przeciwstawił się Arafat, bojący się powstania alternatywnej reprezentacji palestyńskiej. Jednym z najmocniejszych wszak autotów "państwa OWP", pozbawionego przecież piędzi własnej ziemi, jest utrzymywany jako tako monopol polityczny reprezentującej je organizacji, sprawiający, że tylko z jej przedstawicielami - z powodu braku porównywalnych znaczeniem konkurentów - można by, jak dotąd, zasiąść do stołu rokowań. Stąd bierze się bezwzględne czasami egzekwowanie posłuszeństwa wobec niezależnie myślących Palestyńczyków na Zachodnim Brzegu. Cieszący się powszechnym autorytetem arabski burmistrz Betlejem, który poparł izraelską propozycję wyborów, dość szybko nakłoniony został do publicznego zdezawuowania własnego stanowis-

ka. Gorzej utrzymać dyscyplinę miejscowych fundamentalistów, którzy na Zachodnim Brzegu optują za jordańskim Husajnem, w bardziej radykalnej zaś Gazie opowiadają się, jak wspomniałem, za "republiką islamską". Gdzienigdzie dochodzi do starć pomiędzy nimi a lojalnymi wobec OWP aktywistami.

Algierska "deklaracja niepodległości" wyłoniła dalsze podziały. Gdy bowiem we wschodniej Jerozolimie, w Nablusie czy Hebronie jej ogłoszenie wywołało nieklamany entuzjazm, połączony z intensywnym rzucaniem kamieni w żołnierzy izraelskich, w obozach na południu Libanu, zamieszkałych przeważnie przez uchodźców z 1948 r. /czyli z ziem, których teraz "wyrzeki się" Arafat/ trudno było mówić o radości. Natomiast wnioski praktyczne wyciągnięto tu takie same, jak nad Jordanem: nie podporządkowane Arafatowi ugrupowania permanentnie niepokoją północną granicę Izraela.

Najbardziej może wymierną niepokoją palestyńską było zerwanie się przez króla Husajna zwierzchnictwa nad Zachodnim Brzegiem w lipcu ubiegłego roku. Gazy odrzekł się Egipt już przed dziesięcioma laty w Camp David. Obydwa państwa uznają "niepodległą Palestynę", choć Egipt utrzymuje stosunki dyplomatyczne z Izraelem. Tereny okupowane przez Izrael stały się więc w świetle prawa międzynarodowego "ziemią niczyją". Logika nakazywałaby więc oczekiwać, że kolejna "palestyńska" rezolucja ONZ wypowie się na temat zasady samostanowienia. A powołują się na nią nie tylko Arabowie: niedawno wywodzący się ze środowisk osadników "nowych ziem" żydowscy nacjonalisci zapowiedzieli, że w wypadku wycofania się wojsk izraelskich z terenów zajętych w 1967 r. oni sami proklamują tu "niezależną Judeę".

Póki co jednak Szamir trzyma się mocno i Palestyńczykom nie mamy specjalnie czego zazdrościć.

lut y 1989

Longin

Życzymy "Komitetowi Obywatelskiemu" jak najlepiej, tak jak życzymy "Solidarności" jak najlepiej. Uważamy wszakże za konieczne przypomnieć rzeczy oczywiste. Partia komunistyczna z władzy i to pełnej władzy, pod groźbą samozniszczenia, nie zrezygnuje. Żadnych porozumień nie dotrzyma. Wszelkie układy są tylko manewrem, którego nie traktuje się poważnie, tak jak to pokazało przekreślenie jednostronne Porozumienia Gdańskiego z 1981 roku. Z drugiej strony nawet taka próba naruszenia monopolu Partii może mieć znaczenie. Będzie świadczyć o osłabieniu władzy Partii. /.../

Działanie "Komitetu Obywatelskiego" /.../ przyspieszy i zaostrzy proces polaryzacji społeczeństwa niezależnego w Kraju. Przeciwnicy rozmów z Partią nie pozostaną bierni. Ugrupowania polityczne niepodległościowe wzrosną na sile.

Emigracja niepodległościowa musi domagać się prawdziwej niepodległości, pełnej wolności i rzeczywistej demokracji w Polsce. Taka jest bowiem jej racja bytu.

/Z przemówienia noworocznego Prezydenta RP
Kazimierza Sabbata/

Wybory do sejmu

Ordynacja wyborcza jest zbiorem przepisów prawnych dotyczących wyborów do organów przedstawicielskich. Demokratyczne ordynacje wyborcze w różnych krajach różnią się od siebie dość istotnymi szczegółami, choć posiadają również pewne cechy wspólne, odróżniające je od ordynacji pseudodemokratycznych obowiązujących w państwach totalitarnych /państwa autorytarne obywają się najczęściej bez fasadowych instytucji, natomiast totalitaryzm wymaga utrzymywania fikcji/.

Spoleczeństwo polskie stanie w przyszłości z pewnością wobec konieczności wyboru między różnymi wariantami demokratycznej ordynacji. Przedwczesne byłoby obecnie proponowanie szczegółowych rozwiązań, ale warto wiedzieć, jakie możliwości mamy do wyboru. Długoletnie rządy komunistyczne spowodowały pewne zamieszanie w rozumieniu demokracji. Obecne manipulacje wokół "okrąglego stołu" to zamieszanie jeszcze potęgują. Powinniśmy nauczyć się odróżniać rozwiązania prawdziwie demokratyczne od fikcji mających na celu przedłużenie komunistycznych rządów.

Poniższy tekst nie wyczerpuje całości problemu, dotyczy bowiem tylko ordynacji do sejmu. Ordynacje wyborcze do senatu zwykle niewiele różnią się w obecnych czasach od ordynacji do izby niższej. Najczęściej spotykaną różnicą jest mniejsza liczba senatorów, którzy reprezentują większe jednostki terytorialne. Innym problemem są ordynacje w wyborach prezydenckich i do samorządu terytorialnego. Poruszenie tych kwestii przekracza jednak ramy jednego artykułu.

1. Zasady ogólne

Demokratyczne ordynacje kierują się pewnymi założeniami ogólnymi. Jest to m.in. zasada powszechności - prawo wybierania ma każdy obywatel bez względu na płeć, narodowość, wyznanie, wykształcenie, stan majątkowy itp. Wybrani mogą być wszyscy, którzy mają prawo wybierania. Pewne wyjątki od zasady powszechności nie mogą mieć charakteru dyskryminacyjnego. Prawa wybierania pozbawione są zazwyczaj osoby skazane prawomocnie na pozbawienie praw obywatelskich, odbywające karę więzienia lub przebywające w szpitalach psychiatrycznych. Niektóre ordynacje pozbawiają praw wyborczych, zwłaszcza prawa bycia wybieranym, zawodowych wojskowych i osoby pełniące zawodowo służbę w niektórych organach państwowych /np. oficerowie policji na obszarach, na których pełnią służbę/. Te ostatnie ograniczenia mają na celu z jednej strony zapewnienie neutralności politycznej np. wojska, z drugiej zaś niedopuszczenie do wykorzystania stanowiska np. w policji w celu wpłynięcia na wyniki wyborów.

Zasadniczo niedopuszczalne - z demokratycznego punktu widzenia - jest natomiast wprowadzanie dodatkowych kryteriów ograniczających prawa wyborcze /np. postawa moralna/. To wyborcy sami mają określić, czy ktoś ma odpowiednio np. kwalifikacje moralne, by być posłem.

W ostatnich kilku dziesięcioleciach obniżył się wiek, od którego przysługują obywatelom prawa wyborcze. Obecnie niemal

wszędzie jest to 18 lat, a pojawiają się już koncepcje, aby wiek dopuszczający prawo do głosowania obniżyć do 16 lat.

Zasada równości polega na tym, że każdy wyborca ma tylko jeden głos. Zasada bezpośredniości - że wyborcy głosują bezpośrednio na kandydatów na posłów, nie zaś np. za elektorów, którzy dopiero mają wybrać właściwy parlament. Demokracja wymaga, aby głosowanie odbywało się tajnie. Właściwym zabezpieczeniem przed manipulacjami wyborczymi jest obowiązek tajnego głosowania /oznacza to w praktyce, że każdy wyborca musi wejść do pomieszczenia za kotarą przed wrzuceniem głosu do urny/.

2. Okręgi wyborcze, komisje wyborcze

Podział kraju na okręgi wyborcze jest sprawą niezmiernie ważną, dlatego powinien on zostać określony przez ordynację wyborczą. Zasada jest, aby okręgi były mniej więcej równe - duże różnice w wielkości okręgów sprzeczne są z zasadą równości /mniej wyborców w małym okręgu może wybrać tyle samo posłów, co więcej wyborców w większym/. Podział kraju na okręgi powinien być co pewien czas aktualizowany w związku z przemieszczeniem się ludności. Skrajnym przykładem niestosowania tej zasady były tzw. "zgniłe miasteczka" w XIX-wiecznej Wielkiej Brytanii. Mapa okręgów nie była tam zmieniana przez kilka stuleci, aż doszło do tego, że niektórych deputowanych wybierano w kilkusobowych gminach.

Podczas ustalania granic okręgów może dochodzić do próby wpłynięcia na wynik przyszłych wyborów. Odnosi się to szczególnie do krajów, gdzie istnieje utrwalona geografia wyborcza /tzn. wyborcy pochodzący z jednego środowiska i zamieszkujący jedną okolicę głosują zwykle na określone partie/. Przypadki takich manipulacji odnotowano np. w historii Francji.

Skład komisji wyborczych ma zasadnicze znaczenie dla uczciwości przeprowadzanych wyborów. Członkami komisji powinny być osoby neutralne politycznie i obdarzone powszechnym zaufaniem społecznym. Głowa państwa powołuje państwową komisję wyborczą /lub np. generalnego komisarza/, a komisja państwowa powołuje komisje okręgowe i obwodowe. Przewodniczącymi komisji państwowej i okręgowych powinni być sędziowie sądów publicznych /niezawisłych oczywiście/.

3. Zgłaszanie kandydatów

Możliwość nieskrępowanego zgłaszania kandydatów jest fundamentalnym warunkiem uznania ordynacji za demokratyczną. Zwykle kandydatów mogą zgłaszać partie polityczne bądź grupy wyborców. W wielu krajach prawo to ograniczono wyłącznie do grup wyborców wychodząc z założenia, że partia polityczna może w danym okręgu zebrać odpowiednią ilość podpisów wyborców równie łatwo, co grupa niezrzeszona.

Ilość podpisów potrzebna do zgłoszenia kandydata /listy kandydatów/ do parlamentu waha się w różnych krajach od 10 /w W. Brytanii/ do kilkuset. Nie ma potrzeby zbierania tysięcy podpisów, ponieważ celem tej operacji nie jest określenie społecznego poparcia dla kandydata /po to są wybory/, a tylko wyeliminowanie kandydatów niepoważnych. Równoległe stosowaną metodą eliminacji takich kandydatów jest pobieranie kaucji pieniężnej przed wyborami. Kaucja taka musi być wysoka z punktu widzenia pojedynczego człowieka, ale łatwa do zebrania dla partii lub grupy ludzi. Je-

żeli kandydat uzyska w wyborach określoną ilość głosów /np. 1% / i dowiedzie w ten sposób, że jego kandydatura była poważna, kandydatura zostaje zwrócona.

Szczególnym przypadkiem ograniczenia prawa zgłaszania kandydatów jest RFN. W kraju tym połowa kandydatów może być zgłoszona wyłącznie przez partie polityczne, a możliwości zgłoszenia kandydatów przez wyborców są ograniczone. Oczywiście demokratyczne prawo stowarzyszania umożliwia każdej grupie wyborców utworzenie partii i zgłaszanie kandydatów. Jednak istnienie partii jest podane pod kontrolę wymiaru sprawiedliwości. Ustawodawstwo RFN zakazuje istnienia partii, których celem byłoby obalenie demokratycznej konstytucji tego kraju. W latach pięćdziesiątych sądy zachodniemieckie dwukrotnie delegalizowały partie polityczne - neonazistowską i komunistyczną. Te przepisy prawne są skutkiem niemieckich doświadczeń historycznych, mają na celu zapobieżenie powtórzeniu się sytuacji z 1933 r., kiedy partia hitlerowska doszła do władzy w drodze demokratycznych wyborów.

Warto w tym miejscu podkreślić, że rola komisji wyborczych podczas zgłaszania kandydatów jest czysto techniczna. Komisje mają za zadanie sprawdzić, czy dopełnione zostały wszystkie warunki określone przez ordynację. Komisje wyborcze nie mogą odrzucić jakiegokolwiek kandydatury z przyczyn innych, niż określone w ordynacji.

4. Wyniki głosowania

Zasadą odróżniającą wybory od plebiscytu jest konkurencja między kandydatami /w okręgach jednomandatowych/, bądź między listami kandydatów /w okręgach wielomandatowych/. Bez konkurencji nie może być mowy o wyborach.

System wyborczy obowiązujący w danym kraju określa w dużym stopniu charakter parlamentu i przez to kształt życia politycznego. Wyróżnia się zasadniczo wybory w okręgach jedno- i wielomandatowych. Wybory w okręgach jednomandatowych mogą odbywać się w jednej bądź dwóch turach.

Klasycznym przykładem wyborów w okręgach jednomandatowych odbywanych w jednej turze jest W. Brytania. Posłem zostaje ten kandydat, który uzyska w swoim okręgu największą liczbę głosów, nieważne ile. System brytyjski ma szereg zalet. Jest to system stabilny, w którym istnieją dwie duże partie zmieniające się przy władzy. Jeśli pojawia się trzecia partia, dąży ona do zajęcia miejsca i wyeliminowania drugiej. W latach dwudziestych Partia Pracy wyeliminowała Partię Liberalną, a obecnie koalicja socjaldemokratyczno-liberalna usiłuje wyeliminować Partię Pracy. Ten system wymusza dwupartyjność, ponieważ wyborcom po prostu nie opłaca się głosować na mniejsze partie, nie mające szans na uzyskanie większości w dużej liczbie okręgów.

System brytyjski ma jednak pewne wady. Najważniejsza, to nieproporcjonalność. Skład parlamentu tylko częściowo odzwierciedla nastroje społeczeństwa. Duże grupy społeczne nie mają swej parlamentarnej reprezentacji /np. Partia Liberalna zbierała przez lata ponad 20% głosów obsadzając ledwo kilkanaście mandatów/. System brytyjski byłby szczególnie niewłaściwy w kraju nie posiadającym tradycyjnych partii politycznych, w kraju nieustabilizowanym i rozproszkowanym życiu politycznym. Wówczas następowaloby rozstrzelanie głosów między wielu kandydatów i w głosowaniu mogłyby przechodzić przypadkowe osoby wybierane niewiel-

ką liczbą głosów. Skład parlamentu w niewielkim stopniu odzwierciedlały w takiej sytuacji poglądy polityczne społeczeństwa.

Przykładem wyborów w okręgach jednomandatowych odbywanych w dwóch turach jest system francuski. W pierwszej turze przechodzą tylko ci kandydaci, którzy uzyskali ponad 50% głosów. Do drugiej tury staje dwóch kandydatów, którzy uzyskali największą liczbę głosów w pierwszej. System francuski jest bardziej proporcjonalny niż brytyjski. Małym partiom opłaca się startować w wyborach - po pierwszej turze partie skupiają się w dwóch blokach wyborczych. Tak więc pierwsza tura służy w praktyce głównie do określenia wzajemnej pozycji ugrupowań wewnątrz dwóch różnych bloków, natomiast druga tura rozstrzyga konkurencję między dwoma blokami.

Nieproporcjonalność wyników w stosunku do układu sił społecznych nie zostaje jednak w systemie francuskim wyeliminowana. Duże partie mają zwykle znacznie większy procent mandatów, w stosunku do liczby uzyskanych głosów, partie średnie i mniejsze mają mniej mandatów bądź w ogóle nie są w parlamencie reprezentowane.

Całkowicie proporcjonalny jest system oparty na okręgach wielomandatowych, w których konkurują listy kandydatów. Przykładem takiego systemu są Włochy. Układ sił w parlamencie odzwierciedla w tym kraju dokładnie układ sił w społeczeństwie. Koszty takiej sytuacji są znane - system taki jest niestabilny, małe partie wchodzi w krótkotrwałe koalicje, rządy zmieniają się nieraz kilka razy do roku.

Podział mandatów między poszczególne listy w zależności od uzyskanych głosów jest dość skomplikowany. Spróbujmy wyjaśnić go na przykładzie. Wyobraźmy sobie siedmiomandatowy okręg, w którym konkurują 4 partie. Uzyskują następujące ilości głosów, np.: chrześcijańscy demokraci - 47.658, liberałowie - 33.825, konserwatyści - 26.987, socjaliści - 21.326. Ile mandatów uzyskały poszczególne listy, określa się na podstawie poniższej tabeli:

	ch. -d.	lib.	kon.	soc.
:1	47 658	33 825	26987	21 326
:2	23 829	16 912	13493	10 663
:3	15 886	11 275	9899	7 108

Ilości głosów oddane na listy dzieli się przez kolejne liczby naturalne. Największe ilorazy wyznaczają miejsca mandatowe. W naszym przykładzie chadecja otrzymała 3 mandaty, liberałowie -2, pozostałe listy po jednym. Im więcej posłów wybieranych jest w okręgu, tym bardziej proporcjonalne są wyniki. Gdyby w powyższym przykładzie okręg był pięciomandatowy, chadecja otrzymałaby 2 mandaty, a pozostałe listy po jednym. Gdyby okręg był czteromandatowy, socjaliści nie otrzymaliby żadnego mandatu. Metoda podziału mandatów między listy opisana w powyższym przykładzie nie jest oczywiście jedyna, choć dość często stosowana /obowiązywała np. w Polsce przed 1935 r./. Inne metody obliczeń są nie mniej skomplikowane.

Istnieją dwa sposoby osłabiania proporcjonalności w celu zwiększenia w parlamencie reprezentacji silnych partii i większej stabilizacji całego systemu. W Polsce przed 1935 r. były tzw. listy państwowe. Silne partie wystawiające swoich kandydatów w całym kraju bądź w większości okręgów zgłaszały również listy państwowe. Na listach tych umieszczano nazwiska działaczy

szczebla centralnego mało znanych w regionach. Głosy oddane w poszczególnych okręgach na listy danej partii były automatycznie oddawane na jej listę państwową. Podział mandatów z list państwowych był proporcjonalny do głosów otrzymanych przez partie w całym kraju.

Innym ograniczeniem proporcjonalności jest bariera minimum /np. 5% - w RFN/, którą muszą przekroczyć kandydaci partii na obszarze całego kraju, aby mogła wprowadzić swoich kandydatów do parlamentu. Wadą tego systemu jest wyeliminowanie list lokalnych np. kandydatów mniejszości narodowych.

5. Gwarancje

Każda demokratyczna ordynacja wyborcza przewiduje instytucje gwarantujące uczciwy przebieg wyborów. Oprócz neutralnych komisji wyborczych - o czym pisaliśmy już powyżej - ustanawia się instytucje pełnomocników kandydatów. Wszyscy kandydaci mają prawo ustanowić swoich pełnomocników, którzy są obecni podczas wszystkich czynności komisji wyborczych: poczynając od przygotowania urn i głosowania w obwodach, a skończywszy na ustalaniu zbiorczych wyników dla całego okręgu.

Dodatkowym zabezpieczeniem jest możliwość zakwestionowania działań komisji wyborczej przez odwołanie się do sądu. Oczywiście jest to zabezpieczenie realne tylko pod warunkiem istnienia niezależnego sądownictwa.

xxx

Każda ordynacja wyborcza jest wypadkową sytuacji politycznej, w której wchodzi w życie. Dlatego trudno obecnie prorokować, jaka będzie ordynacja do parlamentu przyszłej niepodległej Polski. Wydaje się, że słuszny byłby system proporcjonalny w wyborach do konstytuanta, aby całe społeczeństwo miało głos przy określaniu ustroju Rzeczypospolitej. Natomiast w normalnych wyborach parlamentarnych lepszy wydawałby się system większościowy pozwalający uniknąć destabilizacji politycznej, która miała miejsce w Polsce w latach dwudziestych. Z drugiej jednak strony istnieje ryzyko, że wybrana proporcjonalnie konstytuanta uchwali proporcjonalną ordynację wyborczą.

Angielski system większościowy nie odpowiada polskiej tradycji politycznej - w Polsce istniało zawsze wiele partii. Dlatego lepszy wydaje się system francuski, w którym mniejsze partie łączą się w bloki.

Kończąc niniejsze rozważania warto podkreślić jeszcze, że żaden system wyborczy nie istnieje w próżni. Warunkiem skuteczności rozwiązań demokratycznych jest demokratyczna organizacja życia społecznego. Dla demokratycznej kampanii wyborczej konieczna jest wolność stowarzyszania się, aby można było swobodnie skupiać się wokół programów i wysuwać kandydatów. Konieczna jest wolność słowa, aby kandydaci mogli przedstawić swoje programy. Zaś gwarancją uczciwości wyborów jest niezawisłość sądów. Niezbędne są demokratyczne wybory do samorządu terytorialnego, aby ludzie mieli gdzie uczyć się demokracji. Konieczne jest wreszcie zachowanie zasady podziału władzy, aby demokracja nie przerodziła się w tyranie większości.

Zygmunt Zalewski

Dyplomacja Wałęsy

i łowy ubecji

"Historio, historio,
ty żarliwny micie,
co dla ciebie znaczy
jedno ludzkie życie..."

/z piosenki Agnieszki Osieckiej/

W styczniu tego roku, w odstępie dziesięciu dni, zamordowani zostali "przez nieznanych sprawców, w niewyjaśnionych okolicznościach" dwaj księża - 74-letni ks. prałat Stefan Niedzielak, proboszcz parafii św. Karola Boromeusza przy Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie i młody kapłan z Białegostoku, ks. Stanisław Suchowolec. Obaj znani byli z odwagi, szlachetności i śmiałego głoszenia prawdy, którą władze komunistyczne uważają za wrogie sobie poglądy. Ksiądz Stefan Niedzielak, dawny działacz harcerski, kapelan AK i WiN, opiekował się szczególnie tymi kombatantami, dla których nie istniał żaden ZBOWiD, a także rodzinami ofiar terrorkomunistycznego w Katyniu i na sowieckim Wschodzie. Ksiądz Suchowolec, aktywny przyjaciel "Solidarności" w białostockim /gdzie ulubioną metodą działania ubecji są podpalenia, o czym należy pamiętać w związku ze śmiercią tego kapłana/ czynnie działał w Suchowoli przed i po męczeńskiej śmierci księdza Jerzego Popiełuszki, a dzieląc jego poglądy nie mógł się nie kojarzyć ze świetlaną postacią Księdza Jerzego.

Pogrzeb ks. Stefana Niedzielaka odbył się w zwykły dzień tygodnia /czwartek/, przy czym władze nie kryły, że zależy im na pośpiechu, jakkolwiek przedtem nie kwapiły się z podaniem komunikatu o śmierci prałata, czyniąc to dopiero po ogłoszeniu zbrodni przez rozgłosnie zachodnie. W cztery dni później zginął tragicznie ksiądz Stanisław Suchowolec: znaleziono go martwego w jego własnym mieszkaniu. Umarł z braku tlenu.

Próbując odtworzyć szczegóły, przeglądam czołowe pismo polskich katolików i intelektualistów, "Tygodnik Powszechny", i ze zdumieniem stwierdzam, że... nic - albo prawie nic. Bardziej szczegółowa lustracja styczniowych i lutowych numerów "TP" ujawnia w numerze z 29 stycznia, w rubryce "Obraz tygodnia", na trzynastym miejscu /po informacjach o X Plenum KC PZPR, na którym udzielono "votum zaufania obecnemu kierownictwu"; o oświadczeniu Krajowej Komisji Wykonawczej NSZZ "Solidarność" stwierdzającym "zasadniczy krok jakim jest uchwała KC PZPR o przywróceniu //pluralizmu w kierunku dialogu społecznego"; o śmierci Józefa Cyrankiewicza/, oszczędnie notatkę o tym, że "W Warszawie zamordowany został /choć brak jeszcze ostatecznych ustaleń śledztwa/ ks. pra-

lat Stefan Niedzielak /lat 74/...". Daleko posuniętą wstrzeźliwość "TP" potwierdzają kolejne numery pisma, w których redakcja powstrzymuje się od własnego komentarza, informacji, czy choćby zamieszczenia nekrologu, przestając na wydrukowaniu na ostatniej stronie "Oświadczenia w sprawie śmierci ks. Stefana Niedzielaka", podpisanego przez warszawski Zarząd KIK-u, którego autorzy "oczekują szybkiego i wnikliwego śledztwa" /oświadczenie datowane 21 stycznia 1989; ukazało się z numerze "TP" z 5 lutego/.

Nie tylko "Tygodnik Powszechny" /który o śmierci księdza Suchowolca nie wspomina w ogóle/ okazał w sprawie tak demonstracyjnego podwójnego gwałtu daleko idące opanowanie emocji. Spokój i zdrowy rozsądek, który musiał uradować władze, zachowała też strona atakowana /bo przecież nie dwaj indywidualni kapłani byli ostentacyjnymi celami zamachów/ - a więc Kościół /mowa o jego władzach/ i ci, którzy mienia się reprezentantami większości narodu - wodzowie "Solidarności". Na pogrzeb przybyły liczne poczty sztandarowe różnych grup i organizacji, a także tłum warszawiaków; jednak - jak pisze w krążącej z rąk do rąk odezwie kapłan, któremu wydano zakaz głoszenia "publicznych wystąpień", ksiądz Stanisław Małkowski - "nie pojawili się na pogrzebie księdza Niedzielaka ci, na których czekali licznie zgromadzeni dziennikarze".

Nie pojawili się, chociaż byli w Warszawie, polerując zbroje do roli rycerzy okrągłego stołu. Widocznie rycerzom okrągłego stołu nie w głowie były pogrzeby, a poza tym ksiądz Niedzielak mógł wcale nie być ich osobistym znajomym - przeciwnie niż generał Kiszczak i minister Urban.

Oddam głos księdzu Małkowskiemu, który z właściwą sobie swadą i skłonnością do lotnej metafory, dobitnie definiuje sytuację: "Zbrodnia katyńska, w chwili jej ujawnienia w roku 1943, była niewygodna dla aliantów zdążających ku zwycięskiemu porozumieniu i "pojednaniu" w Teheranie i Jalcie. Podobnie zbrodnia powązkowska okazała się niewygodna dla tych, którzy obecnie chcą się jednak i porozumiewać, siadając do wspólnego stołu ze złoczyńcami. /.../ Pogrzeb księdza Niedzielaka stał się swego rodzaju testem dla "Solidarności"; ile jest w niej pojałtańskiego ducha. Dlatego zbrodnia na księdzu Niedzielaku nie tylko była i jest zakłamywana i fałszowana przez obcych, przez tych, którzy chroniąc sprawców sami podpisali się pod tym morderstwem. Ale również ta zbrodnia była i jest rozmywana, pomniejszana przez "swoich", którzy udając, że mają wątpliwości, których w świetle faktów mieć nie mogą, biorą małodusznie lub dyplomatycznie stronę przeciwnika".

Nie można wykluczyć takiej możliwości, że zamorodowanie księdza Niedzielaka było prowokacją przed "okrągłym stołem" - prowokacją dokonaną przez jedną frakcję "pluralistycznej", totalitarnej szajki przeciwko innej frakcji tej samej szajki. Mogło chodzić o ewentualne udaremnienie "rozmów pojednawczych" - co jest, rzecz oczywista, krótkowzroczną komunistyczną dziecinadą, gdyż okrągły stół w sposób nieuchronny i doskonały udaremnia się sam, i to, jak zwykle, kosztem naiwnej części społeczeństwa. Zamiarem zamachowców mogło być sprowokowanie grupy Wałęsy do odrzucenia roli rycerzy okrągłego stołu. Jednak Lech Wałęsa i "jego zaplecze" /"Muszę się porozumieć z moim zapleczem"/ nie tylko sprowokować się nie dali, ale jeszcze podstawili drugi policzek, w który skwapliwie uderzono drugim morderstwem na "solidarnościowym"

kapłanie - żeby nie było żadnych wątpliwości. Czy Lech Wałęsa nie przesadza z tą "miłością chrześcijańską"?

Z wypowiedzi rycerzy okrągłego stołu, którzy, chcąc nie chcąc - tworzą dziś wobec nas jedną grupę, wynika, iż oni sami uważają się za wybrańców historii, obdarzonych dziejową misją ratowania państwa i narodu. Cóż to za misja historyczna, która nie zabrania morodować, ale zabrania ujmować się za ofiarami bezczelnych gwałtów?

I. Basta

P.S. Dwaj zamordowani w styczniu 1989 kapłani powiększyli listę polskich księży-męczenników /na pogrzebie ks. Niedzielaka jeden ze sprawujących liturgie przywdział czerwoną stulę - kolor męczeństwa/. W naszej najnowszej historii, która kulminowała "Solidarnością" i stanem wojennym, ksiądz Jerzy Popiełuszko jest w tym męczeńskim legionie postacią najbardziej znaną, ale nie pierwszą chronologicznie: w sierpniu 1976, po "wypadkach radomskich", zamordowany został przez UB ksiądz Roman Kotlarz. Ku jego czci w kościele powązkowskim, którego proboszczem był ks. Stefan Niedzielak, wmurowano i poświęcono tablicę pamiątkową. Pod naciskiem władz kościelnych i państwowych, ksiądz Niedzielak zmuszony był tę tablicę usunąć.

Czy wystarczy nam policzków?

JESTEŚMY PRZECIWKO WSZELKIM POROZUMIENIOM Z KOMUNISTAMI

1. Komitet Obywatelski oraz wyłoniona przez KKW reprezentacja związkowa "Solidarności" nie mają uniwersalnego mandatu ani całego społeczeństwa, ani całej opozycji. Nie mogą więc w imieniu społeczeństwa i opozycji podejmować zobowiązań wobec komunistycznej władzy.

2. Potwierdzamy raz jeszcze nasze przekonanie, że istnienie niepodległej demokratycznej Polski zbudowanej na fundamencie wolnej gospodarki będzie możliwe dopiero po zmianie ustroju.

3. Jakiegokolwiek rozmowy z komunistyczną władzą nie mogą przynieść społeczeństwu trwałych korzyści, co zostało wielokrotnie historycznie sprawdzone. Również obecnie reforma gospodarcza i przemiany polityczne są tylko propagandowym hasłem i dezinformacją. Korzyść z takich porozumień uzyskuje tylko władza komunistyczna otrzymując legitymizację wewnątrz i na zewnątrz kraju.

4. Szczególnie sprzeciwiamy się wszelkim manipulacjom dotyczącym wyborów do sejmu PRL. Uważamy, że tylko wolne wybory mogą wyłonić autentyczną reprezentację społeczeństwa.

Dlatego byliśmy i jesteśmy przeciwko wszelkim porozumieniom z komunistami.

Porozumienie Partii i Organizacji Niepodległościowych

Warszawa, 3 lutego 1989 r.

Z życia emigracji

Przewodniczący komisji spraw zagranicznych w parlamencie portugalskim prof. Antonio de Sousa-Lara złożył w styczniu br. wizytę w siedzibie władz RP w Londynie. Prezydent RP Kazimierz Sabbat odznaczył gościa Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Po tej uroczystości odbyła się konferencja z przedstawicielami władz RP i politykami brytyjskimi. Prof. de Sousa-Lara zarysował możliwość rozwinięcia polskiej współpracy z parlamentarzystami portugalskimi i europejskimi. /wg PAT nr 3/89/

xxx

W Sztokholmie 6 listopada 1988 r. podpisana została Deklaracja Estońsko-Polska. W imieniu rządu RP deklarację podpisał premier, prof. Edward Szczepanik. Stronę estońską reprezentowali: prezydent Estonii, premier Rządu Estońskiego na Uchodźstwie i przewodniczący Estońskiej Rady Narodowej. W Deklaracji stwierdzono:

"Zważwszy, że:

- 1/ dominacja Moskwy w Estonii i Polsce skłania oba nasze kraje aby dążyły do wspólnego celu wyzwolenia z sowieckiej opresji imperialistycznej, która zagraża bytowi naszych narodów;
- 2/ ten wspólny cel stwarza więzy solidarności między Estonią a Polską, w celu odzyskania wolności i suwerenności;
- 3/ wolność i niepodległość wszystkich krajów Europy Środkowo-Wschodniej, które obecnie walczą z dominacją sowiecką, leży w interesie zarówno Estonii jak i Polski, ponieważ wolność całego tego regionu jest nierozdzielna;
- 4/ solidarność sąsiadujących ze sobą krajów jest warunkiem politycznej równowagi w Europie Środkowo-Wschodniej opartej na wzajemnym poszanowaniu i wspólnocie interesów.

Obie układające się strony oświadczają co następuje:

- a/ Praca w kierunku zapewnienia trwałego istnienia wolnych i suwerennych Estonii i Polski stanowi żywotny interes obu narodów.
- b/ Oba rządy uważają za pożądane utrzymanie stałych kontaktów i wzmocnienie współpracy".

W uroczystości podpisywania powyższej deklaracji uczestniczyli przedstawiciele Wolnych Łotyszów. Zapowiedziano przygotowanie podobnej deklaracji łotewsko-polskiej. Przypomnijmy, że Rząd Estonii na Uchodźstwie, jak i rządy łotewski i litewski, jest uznawany przez większość państw Zachodnich, w tym USA.

Copyright "Samostanowienie"

Druk Wydawnictwo BAZA

Cenę ustala kolportaż

Przedstawiciel "Samostanowienia": Stanisław Plewako, IBB PAN,
o2-532 Warszawa, ul. Rakowiecka 36, pokój 48, tel. 490171 w. 505